



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionej agencji, przysyłając należność do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelnia ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26.

Treść Numeru. Wspomnienie o s. p. Józefie Korzeniowskim przez Leona Kunickiego. — Korespondencja z Wiednia. — Podróż po Danii. — Przegląd muzyczny. — Pamiętnik Wacławy przez Elżbę Orzeszkową. — Mąż i Zona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską.

WSPOMNIENIE

o s. p.

JÓZEFIE KORZENIOWSKIM

PRZEZ

Leona Kunickiego.

Każdy wielki talent, każda wielka inteligencja umysłowa, jakkolwiek za życia słusznem cieszyć się mogą uznaniem, rozgłosem i popularnością, nigdy jednak ocenianymi dostatecznie nie bywają, aż dopiero po śmierci. Wówczas uczuwa się prawdziwie ich brak, zastanawia się uważniej nad ich utworami, ocenia piękności i zalety ich talentu, każdy szczegół ich życia staje się interesującym, każda pamiątka i twór pozostała a jeszcze nieznaną, nabierają szczególniejszej wartości.

Do takich wielkich i sympatycznych talentów, zaliczyć można Józefa Korzeniowskiego, którego Dramata, Komedje i Powieści, to rzeczywiście szereg najcudniejszych klejnotów Literatury naszej.

Jako powieściopisarz Korzeniowski może nawet jest wyższym, aniżeli jako dramaturg.

Oprócz zajęcia jakie umiał nadać w swych powieściach, każdy przedmiot którego się dotknął dziwnie uplastyczniał i podnosił. Każda jego postać i charakter z taką prawdą i dosadą były malowane, że na długo pozostawały w pamięci, jakby osoby w rzeczywistości życia znajome. Styl zaś jego szczególniejszy, jemu właściwy, miękki, potoczny, aksamitny, dziwny posiadał urok. Czytając te starannie wypracowane perjody, zaokrąglone i wykończone, zdawało się że ani jednego wyrazu w nich dodać, ani ująć nie podobna.

A nie tylko w większych powieściowych jego utworach widoczne jest to staranne obrobienie formy, to wykończenie stylowe, ale i w mniejszych, w najdrobniejszych powiastkach jest on nieporównany. Komuż nie wycisnęły łzy z oka powiastki takie, jak Scena na balu, Pojedynek lub Posłuszeństwo (1).

Drobniejsze jego powiastki to istotne perełki, każda z nich choćby najmniejsza rozmiarem, pełną jest rzetelności, prawdy, poetycznego uroku, a stylowo

opracowana z jego właściwą starannością i zaokrągleniem.

Jakkolwiek Korzeniowski za życia, a szczególnie pod koniec swego żywota, posiadał wielką popularność, obudzał żywe zajęcie swemi utworami i pamiętam jak potrafił zająć i zaciekać swemi powieściami w Gazecie Warszawskiej drukowanymi, tych nawet co nigdy podobnych utworów do ręki nie brali, to jednak dziś dopiero prawdziwie uczuwać się daje brak jego potężnego talentu. Powieści jego jak: Spekulant, Kollokacja, Powiastki mniejsze, i inne zupełnie w handlu księgarskim wyczerpane zostały, a nowsza generacja pragnąca poznać się z jego utworami z pożądaniem wyczekuje wydawnictwa wszystkich dzieł jego, którą to myśl szczęśliwą powziął w ostatnich czasach wydawca Kłosów, który obok przysługi publicznej, niezawodnie wielką z tego wydawnictwa korzyść odniesie.

Znałem dobrze Korzeniowskiego, z rozmów z nim często prowadzonych, odnosiłem praktyczne korzyści w poglądzie na świat i ludzi, na serca i uczucia ludzkie, które on z taką prawdą i znajomością malował. Szczególniej znał dobrze kobiety i wszystkie najdelikatniejsze odcienia ich serca.

Pomiędzy radami dotyczącymi się powieści pamiętam jak mówił:

— „Jeżeli chcesz aby postacie w twoich utworach wychodziły wybitne i charakterystyczne, bierz je naprzód o ile możesz z natury, byle znów nie tykały osobistości i aby to nie wyglądało na paszkwil, następnie spoufal się z nimi i wprzód nim zaczniesz pisać, śpij z nimi, jedz z nimi, rozmawiaj; potrzeba aby wystąpiły przed ciebie, mówiły, ruszały się, słowem żyły. Następnie dIALOGUJ z nimi jak najwięcej, bo nigdy postać nie uwydatni się tyle przez najbardziej obszerne i drobiazgowo opisy, ile wówczas, gdy mówić będzie i działać.“

Za przybyciem mojem do Warszawy (było to w r. 1860) zastałem go już bardzo cierpiącym; kaszel męczył go chwilami straszliwie. Gdyśmy obszernie mówili o Polkach naszych w ogóle, o panienkach na wydaniu, o konkurencji i małżeństwie, Korzeniowski mając jak najlepsze o kobietach naszych przekonanie, udzielał mi rad w wyborze dożgonnej towarzyski życia i był zdania, aby nie zwlekać zbyt daleko w wejściem w te związki, które życiu nadać mogą i powinny cel wybitniejszy i stanowczy, a w harmonijem dobraniu dwóch serc kochających się, wytworzyć pożyte pełne chwil, szczęścia i słodyczy.

Gdy mu pod tym względem swój sposób widzenia objawił i przyznał się, że jakkolwiek znam wiele młodych osób, ładnych i wykształconych, pełnych

tych zalet, jakeimi zwykle Polki nasze się odznaczają, lecz że się wacham i zwlekam w wyborze odrzekł mi:

— „Widzę że szukasz ideałów, których w życiu nie znajdziesz i dla tego tak mówisz, żeś się jeszcze nie zajął prawdziwie, ale mam nadzieję że ta chwila nastąpi i oby jak najprędzej nadeszła.“

W kilka dni po tej rozmowie, gdy go znów odwiedziłem i zastałem przy pisaniu odrzekł mi:

— „Po naszej ostatniej rozmowie, wyniosłem przekonanie, że jesteś pod względem sercowym dojrzały.“

— „Jako? nie rozumiem.“

— To jest że mogąc kochać i być kochanym, odkładasz z dnia na dzień postanowienie, któreby cię uszczęśliwiło mogło co następczyło mi myśl do napisania komedjki p. t. *Dojutrek*. Zacząłem ją skończyć, aby ci utkwiała lepiej w pamięci, jaki los zwykle czeka takiego, który odkładając z dnia na dzień, nie korzysta ze szczęścia jakie mu się samo nasyca. Przedstawiam tu młodego człowieka starającego się o pannę ładną, rozumną, majątą i dla niego sympatyczną, ale która znudzona niedoczytą konkurenta, poznawszy innego, wychodzi za tego ostatniego, pana Dojutrka zostawiając na koszu.“

I wzięwszy zapisany i mocno poprzekreślany arkusik, zaczął mi czytać początek komedjki, której tu przytoczenie, sądzę że nie będzie bez zajęcia dla zwolenników talentu tego, który już zamilkł na zawsze.

O godzinie szóstej wieczorem tak się rozpoczęła manuskrypt, w Żulińcach krzątała się panna hoża i przystojna około stolika, na którym wszystko było przyrządzone do herbaty. Poważna matrona siedziała na kanapie i coś szyła, a gospodarz domu w letnim surducie przechadzał się po pokoju. Było to w połowie Czerwca, wieczór był cichy, powietrze ciepłe, a przez okna wszędzie otwarte, zaglądały bzy w pełnym kwiecie i miłą woń przysyłały.

— Pamiętaj dodać z uśmiechem że te bzy i ta woń miła, to także mają być przedstawione na scenie.“

Sędzia.

Ale poczekajcie bo no z herbatą, wkrótce może nadjedzie.

Tekla.

Ach! mój papo, już prawie tydzień codziennie czekamy tego pana. Przyznam się papie, że mi się

(1) Posłuszeństwo, mała powiastka drukowana w Zbiorowym piśmie p. t. Po ziarnie, nie wychodzi do serji Powiastek mniejszych oddzielnie wydanych.

to wcale nie podoba, że się on do mnie wybiera jak sółka za morze.

Sędzina.

— Co w tem to masz rację. Nikt go nie prosił żeby się oświadczał. Przyjeliśmy jego oświadczenie uprzejmie, odpisał na to wymownie, dodając, że może razem z tym listem będzie u nóg rodziców i panny, i otóż już tydzień minął, a jego jak nie ma, tak nie ma. Cóż to u Boga, żarty? bardzo proszę.

Sędzia.

Ale poczekajcie bo no, jakie bo wy gorąco kapane. Że też to wszystkie kobiety na jedno kopyto. Im zdaje się, że dla nas nie ma nic ważniejszego, jak stawieć się na ich rozkazy i dogadzać ich zachceniom.

Tekla.

Ale kochany papo, czy też to zachcenie? Ja wcale nie chciałam tak bardzo. Zgadzałam się z wolą rodziców, nie mam żadnej odrazy, znajduję że pan August ma rozum, ma majątek, nie jest stary, nie jest brzydki.....

Sędzia (przerywając).

Że jako literat, da się trochę za nos prowadzić.

Tekla.

Być może i to, ale żadnego wielkiego kochania, żadnych wielkich passji, a zatem i wielkiego zachcenia nie mam i jak papę kocham, gdyby mi się teraz kto nadarzył, co by lepij wpadł w oko, wręcz bym mu odmówiła, tem bardziej że daje na siebie czekać

Sędzina.

Anibym ci miała za złe moja Tekluniu.

Sędzia.

Ależ poczekajcie bo no — kto wie co mu mogło się wydarzyć?! jaki mógł go zająć interes. Dobrze wam, że o niczem nie myślicie, tylko żeby się podobać i żeby się wam kto podobał. My mamy czasem takie kłopoty, żeby nam i najsłodsza Wenere wypędziły z głowy.

Sędzina.

Jakież to pan August może mieć interesa? Majątkiem rządzi matka, gospodyni jakich mało, pieniędzy daje mu ile chce, długów nie ma. Doprawdy, coby dla niego teraz mogło być ważniejszem jak pospieszyć do narzeczonej, obiecawszy zwłaszcza, że będzie natychmiast.

Sędzia (ruszając ramionami).

Kto was przegada — dawajcie herbatę — ale, ale panno Teklo!

Tekla.

Co papa każe?

Sędzia.

Powiedz mi co to pan Wiktor tak długo z tobą rozmawiał przed kościołem w Niedzielę, gdy ja zagadałem się z podsejkiem, a matka z chorążyką? Asanna czerwienisz się.

Tekla.

Nie zdaje mi się, a wreszcie może, u mnie o to nie trudno. Pan Wiktor był bardzo grzecznym. Mówił mi rzeczy bardzo zabawne. Rozmowa szła nam jak z płatka. I doprawdy wtenczas postrzegłam pierwszy raz, że pan Wiktor bardzo miły człowiek, pełen dowcipu, pełen rozumu i wcale przystojny.

Sędzia.

A to ładnie, dawszy słowo panu Augustowi...

Tekla.

A cóż kiedy nie przyjeżdża, któż mu winien. Co więcej powiem papie, zdaje mi się, że i ja wcale inaczej wydałam się teraz p. Wiktorowi, jak się dowiedział, że dała słowo innemu, bo mi się bardzo miło przypatrywał.

Sędzia.

Otóż to terazniejszy świat! proszę ja kogo!

Sędzina.

A cóż kochany mężu, jabym wcale nie była od tego. P. Wiktor nasz sąsiad, rodziców znamy i kochamy. Mniej ma wprawdzie od p. Augusta, ale cóż ztąd? Teklusi posag wystarczy dla nich obojga.

Sędzia.

Ale poczekajcie bo no — jemu się może i nie śniło, a wy już budujecie zamki na lodzie.

Tekla.

Mnie się zdaje kochany papo, że mu się śni.

Sędzia.

Zkądże wiesz? czy ci to powiedział.

Tekla.

Tego nie powiem, nie mówił mi nic, ale ja to wyczytałam wtenczas przed kościołem.

Sędzia.

Jakto? pisał do ciebie?

Tekla.

Ach Boże mój! jaki papa już stary, zapomniał jak to było w młodości. Czyliż to zaraz potrzeba czarno na białem? Ja wyczytałam to w jego oczach.

Sędzia.

E! e, stara sztuka, to jeszcze gruszki na wierzbie.

Tekla.

Kto wie, może i nie na wierzbie, kochany papo.

Sędzia.

Jakkolwiek bądź, moja panno córko, ja tego nie pochwalam. Przeciwno p. Wiktorowi nie mam nic, ale dałaś słowo p. Augustowi i rzecz skończona.

Sędzia.

Ale czemuż on nie przyjeżdża?

Sędzia.

Ale poczekajcie bo no — przyjedzie.

Tekla.

Jak się zestarzeje.

(Słychać klaskanie z bicia.)

Sędzia.

Otóż słyszysz, że przedź.

Tekla.

Szkoda doprawdy (bieży do okna) Ach!

Sędzia.

Cóż tam takiego?

Tekla.

Proszę papy — (pokazuje w okno) A co?

Sędzia.

Pan Wiktor!

Tekla (klaszcząc w ręce).

Aha kochany papo, czy się śniło?

Sędzia.

No! no! bardzo proszę ostrożnie. Słowo rzecz święta.

Sędzina.

Ale czemuż on nie przyjeżdża?

Tekla.

I mówię kochany papo, czemuż on nie przyjeżdża? — Ktoż mu winien (biegnie do drzwi) Ignacy! (Lokaj wchodzi) Samowar niech będzie, daj tu czystą szklankę i sucharków przedź, tylko najładniejszych. Tylko niech papa dla niego będzie grzecznym.

Sędzia.

Ale dla czegożbym miał być niegrzecznym?

Wiktor (wchodzi).

Skończywszy czytanie, opowiedział mi jeszcze szczegóły dalszej treści Dojutrka i prosił abym to koniecznie dokończył. Podziękowałem mu za tę pamiątkę, która dziś dla mnie jest wielce cenną i przyrzekłem dokończyć.

W półtora roku potem, gdy znowu odwiedziłem Warszawę i zaszedłem do Korzeniowskiego, zastałem go już bardzo zmienionym, słabym i gorzej kaszlącym.

Na wstępie zapytał mnie czym ową komedijkę dokończył.

— Nie skończyłem jęj — odrzekłem — a naprzód dla tego że tego rodzaju prace wcale mi się nie udają i czuję że nie jestem stworzony na komedjopisarza, a powtórę najważniejszą przyczyną jest ta, że Dojutrek zupełnie się poprawił, bo się ożenił.

— Brawo! — zawołał — zawsze ją skończyłeś choć nie na papierze, takie zakończenie to lubię.

— Znalazłem kobietę — mówiłem — jakiej szukałem od dawna jedną z tych sympatycznych postaci kobiecych o których nieraz w Powieściach waszych czytać nam się zdarza, a wielką zarazem prac waszych wielbicielek.

— O, jakże bym rad ją poznać, i mam nadzieję że mi ją kiedy pokażesz.

To było już ostatnie moje z Korzeniowskim widzenie się, a w roku następnym 1863 z żalem wyczytałem w pismach o śmierci jego w Dreźnie, w dniu 17 Września nastąpnionęj.

K O R E S P O N D E N C J A

z

WIEDNIA.

(Dokończenie.)

Obydwie tutejsze wystawy obrazów zawierają wiele pięknych i godnych widzenia dzieł. W domu artystów wystawione są dwa nowe obrazy Mackarta malarza wiedeńskiego, twórcy „Zarazy w Florencji“ która mu taki rozgłos zjednała. „Są to dary ziemi“ i „dary morza“ zatytułowane, wspólnem mianem „Abundantia“ i równie jak inne obrazy tego artysty wprawiają w kłopot zarówno znawców jak krytyków, uderzając szczególniejszą oryginalnością, tak pomysłu, jak rysunku i kolorytu. Treść tych obrazów można opowiedzieć kilkoma słowami, ale obejrzeć je nie tak łatwo. Na obu kobiety, dziewczęta i chłopcy niosą dary morza i ziemi, aby się nimi cieszyć i swobodnie ich używać. Patrzący podobnież cieszy się z nimi i używa. Niewyczerpana fantazja w przedstawieniu bogactw przyrodzenia, zwłaszcza darów morza, koloryt dziwnie bogaty i harmonijny, wszystko to zdumiewa zarazem i zachwyci. Znawcy twierdzą że w porównaniu z „zarazą w Florencji“, „Abundantia“ dowodzi nadzwyczajnego postępu lubo już i tamten obraz był uważany jako arcydzieło. Jak tam, tak i w „Abundantii“ są niezaprzeczone błędy w rysunku, nikną one jednak w obec innych doskonałości. Na wystawie Tow. sztuk pięknych ścisk bywa tak wielki, że wiele osób powraca nie widziawszy, bo niepodobna się docisnąć. Najwięcej ciekawych zwabiają pejzaże Calama, tudzież sławny obraz Camphausena, przedstawiający generała Blü-

na czele Prusaków przechodzącego Ren pod d. 1 stycznia 1814. Jeżeli dzieło Camphausen nie tylko wysoką wartością artystyczną, ale oraz dla pewnych kół tutejszych w wysokim stopniu sympatyczną, zjednywa sobie powodzenie, to peję Calama samym sobie tylko tryumf swój zapieczają. Calame, syn ubogich rodziców z Vevay wantonie Waadt w Szwajcarii, należy do najgłębszych malarzów naszego czasu. Malował nie tylko szwajcarskie krajobrazy. Zjednując nie niepospolitą sławę, pozbywał dzieła swoje po wysokich cenach i zebrał tym sposobem milionowy majątek. Jezioro Vierwaldstätter które spadkobiercy zmarłego przysłali na teraźniejszą wystawę Tow. pięknych cenione jest na 50,000 franków. Przedstawia jasną spokojną wód powierzchnię, nad którą z boku pochyla się fantastycznie drzewo przegłębne, na przeciwnym brzegu wznoszą się sine góry, a wszystko okraszane jest urokiem czysty wie-

Edward Kurzbauer z Monachium którego obraz „Bankowie uciekający“ tak był podziwiany nie tylko na wystawach w Monachium i Wiedniu, i zosł zakupiony do tutejszej galerji belwederskiej, należał Towarzystwu najnowsze swoje dzieło: „Oświadczenie nieprzyjęte“ podobnemi odznaczające się założeńmi. Obraz przedstawia wnętrze izby wieśniaczej, w środku stół, przy którym siedzi piękne dziewczę najwyższym stopniu zadąsane i głuche na uwagi napływające ją babki, ponieważ ojciec wyprawia właśnie za drzwi jej kochanka, a matka, która widocznie inne miała dla córki projekta, cieszy się że przecież pozbyła się natręta. Wszystkie postacie były żywcem schwyte z natury, patrząc na nie, czuje nam się, że słyszymy co mówią, wiemy o czem myślą, zgadujemy początek i domyślamy się końca. Widać, tyle prawdy i naturalności w każdym rysie. Pomijając cały bardzo jeszcze długi szereg dalszych obrazów, wspomniemy tu jeszcze o jednym jako więcej nas obchodzącym. Mówimy o Obronie Krakowa przeciw Szwedom w r. 1655 Walerego Eliasza z Krakowa. Obraz przedstawia Stefana Czarnieckiego w gronie kilku rycerzy w chwili, gdy małe chłopczyki przynoszą mu poznajdywane kule szwedzkie dla użycia ich przeciwko nieprzyjacielowi. Odznacza się ten obraz i rozmiarami i bogactwem koloru, ale upozowanie zbyt aktorskie głównych figur wstrętne na patrzącym robi wrażenie. Czarniecki i ci którzy tak blisko stali jego osoby inaczej zażadne wyglądali! P. Eliazs dziwne zaiste ma wyobrażenia o naszych bohaterach! Przypominamy sobie z w swojej „Konfederacji Tyszwieckiej“, którą przed dawniej widzieliśmy we Lwowie i Krakowie, Czarnieckiego także jak aktora przedstawił. Smutno, że malarz nie pojmuje głębiej figur historycznych, nie wyobraża je tak, jak przedstawiają bohaterów na takich lichych scenie teatralnej. Artysta podał wartość swego obrazu na 4,000 guldenów, czy z ramienia? nie wiemy. Obrazy p. Eliasza na wystawie wiedeńskiej znajdować się niepowinny, bo nietylko nam tu tutaj nie zjedną, ale owszem dają powód do druznających uśmiechów, jakimi Niemcy obdarzają wszystko co nasze, jeżeli im najwyższa doskonałość nie zaimponuje. Nie każdemu dano się urodzić wielkim... ze względu zaś na owe sztylerstwo zagranicy, dotkliwe dla tych, którzy muszą je widzieć, dobrze byłoby aby malarze do pierwszorzędnego wielkości prawa rościć sobie nie mogący, poprzestali na tej sławie, jaką im „Czas“ i wróble w domu śpiewają. Wielu naszych artystów odniosło palmę pierwszeństwa na wystawach europejskich, ale przecież pan Eliazs nie sądzi się być równym Matejce, Gertgerowi i innym znanym zaszczytnie w rocznikach naszej sztuki.

Wadomości moje o tutejszym ruchu literackim ograniczają się na niewielu szczegółach. Pominąwszy o bibliu zadrukowane obrazkami z teatru wojny, jakie broszury obojętne do których zaliczyć biografię Keethovena i Grillparzera, wydane z powodu obchodu ich jubileuszu, wspomnę kilka barokowych charakterystycznych: „Der Genius der Natur“ Ludwika Otto, pierwsze tu miejsce zajmuje, jest o bowiem gieniusz, który niewiastom i dziewczynom kładzie ręką cenne podaje dary, objaśniając im tajemnice życia, aby je uczacnie i uszczęśliwić. Gieniusz takiego każdy ojciec rodziny chętnie powita w swoim domu, pani Otto bowiem nie powstaje przeciw despotyzmowi mężczyzny, nie zachęca do równości emancypacji, lecz stara się zwalczać przesady i namiętności kobiet. Rzecz cała traktowana jest

z głęboką znajomością serca ludzkiego i społeczeństwa. „Erinnerung an Oberammergau vom Jahre 1870,“ jest opisem dawnych w Oberammergau widowisk pasyjnych, przedstawiających historję męki Zbawiciela. Pierwsza część opisuje miejscowość, mieszkańców, scenę, aktorów, kostiumy i t. d, druga akcję widowiska. Wspominam o tej księdze dla tego, bo może nie każdy wie, że widowiska tego rodzaju które przed kilku wiekami tak były u nas upowszechnione, bywają po dziś dzień dawane w Oberammergau, ma się rozumieć nie z pobudek religijnych, ale dla zysku, i dla tego są urządzone z odpowiednim wymaganiom tego czasu komfortem.

Według nowej ustawy szkolnej nauki geografii (kraju rodzinnego) w szkołach elementarnych, ma rozpoczynać się w klasach najniższych i od początku nauki dzieci mają być obznajmiane z pięknościami, bogactwem, i właściwościami ojczyzny. Jako podrechnik do nauki tego przedmiotu w szkołach austriackich, służyć ma rozpoczęte właśnie wydawnictwo „Kurzgefasste Heimatkunde des Erzherzogthums Oestreich,“ przez Józefa Hubera, tomik pierwszy. Po pierwszych wstępnych wiadomościach, które konieczne posiadać trzeba dla zrozumienia dalszego wykładu geografii, autor przechodzi do opisu Wiednia, wspominając wszystkie ulice a nawet domy do których są przywiązane jakie wspomnienia historyczne. W podobny sposób będą zapewne ułożone dla szkół popularne geografie i innych prowincji, a więc także geografia Galicyi której dotąd nie było. Mówimy nie było, bo jedyne w tym względzie dziełko pana H. Stupnickiego nie odpowiada potrzebom. Archiwarjusz i bibliotekarz niejaki Karol Weiss wydaje poszytami uczoną *Historję miasta Wiednia*, ozdobioną, a raczej oszpeconą drzeworytami, a oszpeconą dla tego bo są robione w Wiedniu, gdzie sztuka drzeworytnicza stoi niżej jak gdziekolwiek indziej, podczas gdy chromo-litografia, druk olejny i t. p. do takiego doszły tutaj rozwoju, że pod tym względem Wiedeń mógłby walczyć o lepszą z najpierwszemi stolicami europejskimi.

Na zakończenie kilka anegdot miejscowych z ostatnich dni. Żydz tutejsi, postępowi, to jest ci którzy dorobiwszy się majątku i złożonych pałaców na Ringstrasse nie zachowują już z taką jak inni ścisłością przepisów religijnych, zasmakowali do tyła w rozkoszach życia wiedeńskiego, iż wątpią aby gdziekolwiek pod słońcem mogło im być lepiej jak tutaj. Tymczasem w rytuale ich wyznania znajduje się modlitwa błagalna o powrót do Jerozolimy, gdzie głód, bieda, zamiast pałaców nędzne domostwa, zamiast giełdy liche kramy. Jakżeż tu pogodzić życzenia serca, z tem co usta wymawiać mają przy każdym nabożeństwie? Mała to wprawdzie niedogodność szeptać Panu Bogu co innego niż się myśli, ale kto ma pałac, portiera w rogatym kapeluszu, cugi i kapitały a czasem nawet tytuł barona, powinien być wolnym nawet od takiej niedogodności. Z tego powodu żydzi postępowi odbyli zgromadzenie, i uchwalili wyrzucić z rytuału ową modlitwę. Ale starowiercy sprzeciwili się temu i zwołali do jednej z bóżnic drugie, pełniejsze zgromadzenie. Zebrali się tam oba stronnictwa: demokracja i arystokracja, a gdy starowiercy żadną miarą nie chcieli pozwolić na nowość, postępowi zaś uporczywie takowej się domagali, przyszło do tak gwałtownego starcia, jakiego może od czasu zburzenia Jerozolimy nie było pomiędzy ciche mi z natury potomkami Abrahama, Izaaka i Jakóba. Wtem jakiś kaznodzieja wstępuje na trybunę. Postępowi mniemali że do nich należy, ale miał brodę, mógł więc być starowiercem.

Dość że oba stronnictwa poczytywały go za swego i żadne mu nieprzeszkadzało gdy zaczął od ogólników. Ale w tem pokazuje się że pan kaznodzieja jest zwolennikiem reformy. Hałas się wznaga, gorętsi na nie nie zważając ściągają go z ambony. Postępowi widząc na co się zanosi, salwowali swoje grzbiety szybkim odwrotem ku drzwiom na szczęście otwartym, starowiercy zaś, gdy się wzburzenie uci- szyło i krew gorąca cokolwiek ochłodziła, ułożyli protest przeciw reformie, w którym całemu żydowskiemu pokoleniu nakazują pod najstraszniejszymi kłatwami, modlić się jak dotąd o powrót do Jerozolimy.

Przed dwoma laty pewien kupiec z Düsselodrfu wygrał na jakiejś loterii główny los, i stał się nagle panem 200 tysięcy guldenów. W rodzinnym mieście nie miał sposobności użycia w odpowiedni sposób swego majątku, przeniósł się więc do Wiednia i żył tu na wielką stopę. Przekonawszy się że to drogo kosztuje chciał podrestaurować fortunę i wdał

się w rozmaite spekulacje. Ale żadna się nie powiodła. Nawet przedsiębiorstwa literackie nie były mu obce, bo na wydawnictwie historji austriackiej stracił 40,000 guldenów. Majątek wyczerpał się do dna. W ciągu kilku ostatnich miesięcy żył tylko z długów i tego co mu dali dawni przyjaciele. Ale nareszcie zamknęły się i te źródła. Odtąd błąkał się po Wiedniu bez przytułku i zatrudnienia, aż go przy obławie na złodziei schwycano i uwięziono. Smutna chwila życia, które niedawno było pięknem i wesołem. Zagrożony hańbą, napisał list do pewnej damy z którą za lepszych czasów w ściślejszych zostawał stosunkach, prosząc aby się za nim wstawiła. Dama... proszę cię kochany Redaktorze każ wydrukować to co teraz nastąpi, większemi czcinkami dla zwrócenia uwagi którego z powieścio-pisarzy, dama uczyniła to i dała mu nawet fundusz na drogę. Była to lilja wzrosła w miejskim pyłu, jak powiada jeden z naszych poetów.¹⁾

W Wiedniu właściciele domów pobierają od mieszkańców czynsz kwartalnie, stąd początek kwartału bywa dla wielu rodzin ubogich częstokroć bardzo kłopotliwym. Czynnownicy zamieszkali w dziewięciu kamienicach pana L. Müllnera, po większej części ubodzy rzemieślnicy lub niżsi urzędnicy, z tem przykrzejszem uczuciem oczekiwali nadejścia d. 1 Lutego w którym płaci się czynsz do maja, ponieważ właściciele tych dziewięciu domów chorował śmiertelnie jakby jaki zwyczajny człowiek, przystęp do niego był wzbroniouy, kto więc miał prosić o przedłużenie terminu zapłaty, wyrzec się musiał nadziei, aby prośba jego tym razem odniosła pożądaną skutek. W tem rozchodzi się wiadomość że p. Müllner umarł. d. 1 Lutego czynszownicy wiedząc dobrze że ze spadkobiercami jeszcze trudniejsza będzie sprawa, zgromadzają się o zwykłej godzinie w jego mieszkaniu, nie tyle dla oddania zmarłemu ostatniej posługi, ile raczej dla zapłacenia należności. Ale jakież było zdziwienie, jaka radość, gdy od nikogo nie przyjęto pieniędzy. Poczciwy Müllner umierając, uwolnił testamentem wszystkich swoich czynszowników od zapłaty czynszu za pierwszy kwartał po jego śmierci. Rzadki przykład... nieprawdaż?

¹⁾ Fotografie brukowe Mirona.

St. Nowiński.

Podróż po Danji.

(Dalszy ciąg).

Wschodnia i południowo-wschodnia część Islandji jest nadzwyczajnie miła i powabna, nawet morze przybiera tu łagodny wyraz brzegów, które podmywa. Urodzajna ziemia, zdrowy klimat, skrzętna zapobiegliwość i pracowitość mieszkańców, o to niewyczerpane źródła zamożności o jakiej świadczą tu wszędzie pełne, okragłe policzki, ożywiony ruch, wyborne zaprzęgi, dostatnia odzież i pigłne domostwa. Niewypowiedzianą błogość uczuwa się tu na łonie natury i duszę słodkim jej widok napawa uczuciem. Niedziw też, że ci weseli wypiarze nie znają większej przyjemności nad dobre na murawie śniadanie. W istocie nie jest to jedna z najmniejszych przyjemności i gdy się zobaczy rodzinę miastowców, zasiadających na zielonym brzegu morza pod cienistym bukiem, rozpościerających na miękkiej murawie białą oponę i wydobywających z tłomoczka wysmienitą szynkę i iskrzące wino, nabiera się ochoty wyśmienitą udziału w tej uczcie. I my zabraliśmy się do naszego tłomoczka przybywszy do Aldershvile, śniadanie smakowało nam wybornie. Z oddalenia uśmiechał się do nas Frederiksdał. Przewiozłszy się tam na czółnie udaliśmy się pieszo na szczyt pagórka. Jakże piękny widok odsłaniał się przed nami! Dwie ciemne jodły po obu stronach stanowią jakby ramy obrazka. Za niemi ciągnie się rozległa dolina przeźrnięta naprzemian łąkami zbóż i bujnemi łakami tu i owdzie bieleją domki wiejskie, otoczone grupami topoli, na prawo piękny dom wznosi się na pagórku, z lewej strony pod lasem bukowym kryje się tajemnicza chatka, do której prowadząca droga, przecina dolinę w kilku malowniczych zagłębieniach. Po za drzewami widać błękitne zwierciadło morza, zamknięte

w oddaleniu łańcuchem pagórków, które oddzielają Frederiksdal od Sorgenfrei, letniej rezydencji królewskiej.

Frederiksdal jest bardzo pięknym miejscem. Zamek należy do hr. Schulina. Ale na jego gruntach mnóstwo osób zbudowało sobie przepyszne wille, za co płacą mu czynsz. Tym sposobem powstało tu jakby kolonia Kopenhagi. W ciągu miesięcy letnich mieszkańcy stolicy zjeżdżają tutaj na dłuższy pobyt, aby serca i umysł odświeżyć na łonie przyrody. Jednemu podoba się rozległy widok ze szczytu wzgórz, tam więc urządził sobie swój raj letni w pośrodku pięknego ogrodu, drugiemu miły było w dolinie nad morzem, aby mógł przypatrywać się z okien kołysaniu się fal, inny wreszcie zbudował sobie domek w gaju bukowym nad brzegiem strumyka. Rozmaitość jest tu tak wielka, że każdy z łatwości może uczynić zadość swoim upodobaniom.

Rzeczka sitowiem zarosła popłynęliśmy na łódce ku wielkiemu jezioru. Na brzegu tegoż stoi letnia rezydencja królewska Sorgenfrei, której ogrody zwabiają zwykle mnóstwo gości z miasta. Widziałem tak jak i w wielu innych miejscach na wyspie mnóstwo buków uderzających ogromem. Są to prawdziwe olbrzymy jakie nie wszędzie napotkać można.

Z Sorgenfrei pojechaliliśmy do zwierzyńca rozciągającego się aż po Sund. Jest to las, mający około cztery mile obwoda a rozpoczynający się w odległości półtoręj mili za miastem. W pośrodku lasu wytryska źródło, któremu lud przypisuje własności uzdrawiające, niedaleko zaś tego źródła na pagórku jest wielkie okrągłe miejsce, w około drzewami wysadzone, które corocznie na sześć tygodni niezmiennie się ożywia. Mówię tu o jarmarku Sto-Jańskim. Opodal pod drzewami ciągnie się nieprzerwany szereg namiotów i bud w których zobaczyć można mnóstwo osobliwości jarmarcznych. W pośrodku tego wieńca kramów, porusza się jak mrowisko różnobarwny tłum ludzi wszelkich stanów, tu bowiem, zwłaszcza w niedzielę i we środę, oprócz mnóstwa ludzi z Kopenhagi, przybywa niemal cała ludność pobliskich wsi i miasteczek. Z Kopenhagi przyjeżdżają nie tylko omnibusy, przed bramami miasta bowiem stoi mnóstwo wozów chłopskich, które tanio i prędko przewożą całe rodziny. Omnibusy, wozy, karety, kabriolety i wierzchowce, wszystko to stanowi często nieprzerwany ciąg łańcuch od miasta aż do lasu, gdzie odgłos akordjonów, harmonik, piszczałek, zmieszany ze zgiełkiem jaki robią przekupnie, kupujący i woźnice, rozlega się nieustannie. Nie brak też tutaj rozrywek i zabaw ludowych w których jednak Duńczycy dość poważnie się zachowują. W Wiedniu pospólstwo skacze, krzyczy, i śpiewa z radością jak dzieci. Duńczycy tego nie czynią, a chociaż lubią aby ich bawiono, skakanie i krzyczenie zostawiają kuglarzom i linoskoczkom. Karuzeli wszędzie co niemiara, jak niemińej huśtawek wszelkiego kształtu. Tu olbrzym zacinający z francuzka, przebrany za Indianina, prezentuje się przed swoją budą w towarzystwie niziutkiego wzrostu żony, tudzież bajazza szwedzkiego i zaprasza przechodniów: obok właścicieli figur woskowych, ruszających głowami, wykrzykuje z niemiecka po duńsku, że najpotężniejsi monarchowie podziwiali jego arcydzieło; opodal stoi namiot w którym pokazują kobietę-olbrzymia; tam znowu przedstawia się prorokini która zgaduje przeszłość i przyszłość. Tu harfarka fałszywe wywodzi trele, i gniewa się że w sąsiedniej budzie psy i małpy zdają się jej przedrzeźniać: gdzie indziej znowu starzec z białą jak mleko brodą przygrywa na lirze i skupia około siebie włościan i włościanki zeelandzkie.

Piękny to lud. Wysokiego wzrostu jak mężczyźni tak kobiety, pogodnego wejrzenia, z ciemno blond włosami i błękitnymi oczyma; są tak do siebie podobni, jakby wszyscy należeli do jednej rodziny. Mężczyźni noszą krótkie czerwone lub błękitne surduty, ozdobione często wielkimi srebrnymi guzami, kobiety i dziewczęta mają na głowach czepce, obszyte z przodu długimi białymi koronkami, z tyłu czerwone, sufo złotem haftowane, z kolorowymi wstążkami spadającymi na plecy. Po większej części ciemne noszą spódnice i białe zapaski, na szyi białe haftowane kołnierze. Wszystkie stany widzisz tu pomieszane, nigdzie jednak nie zobaczysz ani prostactwa ani nieobyczajności. Książę z krwi królewskiej i dumny minister idzie obok wieśniaka lub majt-

ka, dama dworska obok dziewczki z Amaku lub Zeelandji: panowie i panie, bankierowie i rzemieślnicy, wyrobnicy i słudzy, wszyscy zeszli się tutaj dla przyjemności. Tu jednak przedewszystkiem idzie o dobre jadło i napitek, nigdzie też nie żyje się lepiej jak w Kopenhadze i nigdzie nie mówią tak wiele o jedzeniu jak tu, gdzie kapitan od huzarów umie nadziewać kiełbasę jak najlepszy rzeźnik, a gospodarz często wyręcza gospodynię w przyrządzeniu sałaty.

Pojechaliliśmy w głąb lasu. Aleja wysadzona drzewami prowadzi na wzgórze, na szczycie którego wznosi się letni zameczek królewski zwany Eremitażem. Ztamtąd znowu bardzo piękny przedstawia się widok. Daleko na horyzoncie widać morze, tu las przepyszny, tam znowu malownicza murawa, po której przechadzają się w zgodzie jelenie, sarny, szlachetne rumaki i bydlę.

Droga ze zwierzyńca do miasta obfituje także w wiele piękności. Las, jezioro, pola uprawne, ogrody, wille a niedaleko ztąd morze, z mnóstwem okrętów żaglowych, parowców, czółen i łodzi z których muzyka i wesołe głosy zalatują, wszystko to zachwyca podróżnego. Z daleka przesłannie przedstawia się miasto warowne ze swymi wieżami, wysokimi wałami i fortyfikacjami wyglądające z pośrodku zieleni drzew odwiecznych, między którymi obraca się mnóstwo wiatraków holenderskich. Rzuciwszy okiem na morze, kto ma wzrok dobry ujrzy w dniu pogodnym białe jak śnieg brzegi szwedzkie lub skały wyspy Wheen. Wieczorem, gdy krwawa tarcza księżyca wynurzy się z bałwanów morskich i mgły, a w oddaleniu zabrzmi tajemniczy śpiew rybaka, kogóż widok ten prawdziwie czarodziejski nie wzruszy do głębi?

d. c. n.

Przegląd muzyczny.

Koncert A. Zarzyckiego.

Na brak fortepianowych koncertów Warszawa narzekać nie może, gdyż najobficiej jest niemi zasypana.

Miedzy tą falą tonów z klawiszów dobywanych wybitniejsze doroczny koncert, którym nas obdarza pan Zarzycki.

Artysta ten zajął już tutaj piękne stanowisko, jako wykonawca siłą i mechanizmem odznaczający się znakomicie i jako kompozytor, który widocznie wyszedł z granic pospólności i w swoich utworach uwidocznił myśl i władanie techniką.

O zaletach technicznych pana Z., nie mamy się co rozpisywać, znane są bardzo dobrze. Co zaś do duchowej strony gry tego artysty musimy wyznać szczerze nasze przekonanie, iż uznając indywidualność artysty i ogień jaki często objawia, nie możemy jednak w zupełności doznać zadowolenia słuchając pana Z. Zawsze jakieś po sobie zostawia pragnienie, usłyszania czegoś miękkiego, rzewnego i kołyszącego. Wynika to z tej przyczyny, iż pan Z. traktuje fortepian po mężku, dość twardo nawet, uderzenie jego jedrne, ale nigdy łagodne pomimo że artysta posiada bardzo subtelne *pianissimo*.

To stanowi odrębność gry pana Zarzyckiego. Czy jest ona sympatyczną, zależy to od organizacji każdego ze słuchaczy, lub od punktu zapatrywania się na sztukę. Dla jednych może być ta jedrna i mężka gra zaletą, dla nas jest wadą bo grzeszy jednostronnością. Nie mówimy tu o uczuciu płaciliwem i tkliwem, ale o uczuciu takim, które podnosi wartość każdego utworu muzycznego, nadając akcent każdemu frazesowi, i wszystkie szczegóły jednej czyniąc doniosłości.

Ze wszystkich numerów które pan Z. grał na koncercie, najlepiej wyszedł Koriolan Bethovena, najmniej zrobił na nas wrażenia Nokturn Chopina, mimo że go za najpiękniejszy ze wszystkich uważamy. To zdaje się nasze zdanie o panu Zarzyckim potwierdzać, że Uwertura Koriolan potrzebuje właśnie tej mężkości siły jaką ma pan Z. Nokturn zaś wymaga delikatnych odcieni, które tylko z rzeczywistego uczucia wynikają. W Sonacie z wiolonczellą pan Z. dominował głównie, zacierając figury towarzysza, całą zaś Sonatę oddał trzeźwo, ogniście

ale nie uczuciowo. Za zbyt czyste uważamy wglądać się w każdy numer koncertu, dodamy tylko, że pan Z. nie powinien był umieszczać w programmie Walca Webera układu Tausiga. Zaiste dziwić się należy takiej jak Tausig potędze artystycznej!

Poprawić bowiem Webera jest to dopuścić się wielkiego bezprawia co tem jest bolesniejsze że artysta podobne rzeczy uważa za rzecz dobrą, skoro publicznie produkuje podobne utwory. Dla tego to pan Z., nie powinien był tego walcu wykonywać.

Stanowisko pana Z. jako kompozytora jest poważne. Znać że odbywał sumienne studia, przez co nadaje utworowi każdemu wartość muzyczną. Sądzymy jednak że jak w grze tak i tu odbija się braki uczucia. Piosenki np. są udane, stanowiące miłą całość gdyż akompaniament zawsze w nich pełni wartość, jednakże niespostrzegaliśmy indywidualności artysty, nie mają one charakteru wyłącznego i wydatnego. Toż samo znaleźliśmy i w fortepianowych utworach pana Z., i w jego koncercie z orkiestrą który lat temu parę mieliśmy sposobność słyszeć. Wynika więc że pan Z., do tylu licznych i wielkich zalet powinien dodać ten ważny czynnik t. j. uczucie, a wtedy dojdzie do wyżyn artyzmu i nie będzie się żądało jeszcze czegoś, ale otrzyma się pełne zadowolenie, słuchając tak gry jego, jak utworów.

W Sonacie Chopina wystąpił pan Servais. Młody ten człowiek mógłby być dobrym artystą gdyby zaczął brać lekcje u jakiego znakomitego nauczyciela, któryby go nauczył jak należy wiolonczellę trzymać, jak palce stawiać, jak smyczek prowadzić. Mówimy to bezwzględnie gdyż to jest prawda. Dziwna to jednak rzecz, iż mówiąc to, stajemy w sprzeczności z całą krytyką tutejszą! Mimo tego nie cofamy się i powtarzamy, że pan Servais tak wadliwie gra, iż powinien wiać się do nauki, a wtedy wydobęłby ton właściwy z tak pięknego jaki posiada instrumentu.

Tonu tego niesłyszeliśmy dotąd i niewiedzący wiolonczella pana S., jest to wyborny Amati, mógłby się mocno omylić w sądzie o jej wartości. Pan S. wszystko gra całym smyczkiem lub końcem jego, bardzo to wygląda świetnie takie machanie ręką na wszystkie strony, ale ucho i smak niezadawalniały się i żądają innego pociągu. Moglibyśmy szerzej o tem pomówić, ale wstrzymuję się na teraz czekając drugiego występu pana Servais. Może zbyt surowo wyrażiliśmy się, ale cóż nam robić wypadł, gdy ktoś z dalekich stron przybywa, aby nas gra swą zająć? Sądzymy że tym sposobem sam daje prawo do wszelkiej otwartości, bo kto występem swoim poważną nazwę koncertu daje, zmusza niejako do oceny takiej na jaką zasługuje, a my nie widzimy powodu osłaniać i pokrywać wady milecieniem.

Artyści Włosey wystąpili z Żydówką Halevego. Czy zrobili dobrze pozwalamy wątpić, gdyż Dobroski i Rivoli niezatarte wrażenie zostawili; mimowolnie więc porównanie na myśl się nasuwa. Nie będziemy jednak oceniać artystów ani ich gry, gdyż nie o to nam idzie. Chcemy tylko zapytać się, dla czego opera dyrygował pan Karlberg? Sądzymy że usługi jego dla Dyrekcji Teatru są zbyt czyste, gdyż mamy zdolnych i zasłużonych Dyrektorów.

Pan Karlberg raz już uczynił krok niestosowny przyjmując dyрекcję koncertu Beethovena. Teraz narzucił się z dyрекcją opery i zrobił *fiasco*, gdyż opera szła źle, tempa były niestosowne i męcząca swoją rozwleknością. Sądzymy więc że pan Karlberg skończy na tem swój debiut i uzna, iż chce zostać dobrym dyrektorem opery, trzeba więc doświadczenia i nauki nie zaś eleganckiego wywijania pałeczką. Nieodmawiamy mimo to panu K. zdolności dyrektorskich; owszem posiada je bezwątpienia ale nam nie potrzeba ludzi którzyby się dopiero uczyli na naszej orkiestrze dobrej nia dyрекcji.

Aby zaś dać dowód że kwestja ta obchodzi artystów, podpisuję sprawozdanie niniejsze własnym mojem nazwiskiem, gdyż inaczej sądziłoby można że napisane było przez dyletanta.

Zygmunt Noskowski.

Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 (nowy N. 6) dom narożny.

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENIEMŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

„Urodziłem się w świecie w którym mężczyźni wydziedziczeni są z praw do pracy. Jak inni towarzysze i rówieśnicy moi, umiem mówić obcemi językami, grać na dwóch czy trzech instrumentach, tańczyć niezrównanie walca, opowiadać dowcipne anegdotki, mówić damom komplementa, błysnąć gdzie trzeba, usunąć się w pół cień gdy z tem bardziej do twarzy, pić szampana, trzymać bank na zielonym stole i w łóżach teatralnych z miną znawcy przypatrywać się przez binokle grze dramatycznych artystów. Czy za pomocą tych umiejętności mogę stworzyć byt dla ciebie i siebie? Osądź sama i dodaj jeszcze do tego obrazu wściekle rozpróżnienie, które było pierwszym powodem utraty mego funduszu, a zrozumiesz iż nie mi więcęj nie pozostaje jak ożenić się z bogatą panną. Vogue la galère! albo pierwszy tak czynię? Toć to tak utarta droga, że aby zliczyć tych co ją deptali i depczą, zabraknie cyfr w arytmetyce! Ręczę ci, że w niejednym z naszych pocziwych kawalerskich kótek, śmiano by się do rozpuku z moich walk, skrupułów i namysłów. Ożenić się z panną posażną dla tego aby uniknąć nędzy, kochać jedną a wziąć ślub z drugą! Ależ to rzecz tak prosta i łatwa jak wychylenie naparstka absyntu albo przełknięcie ostrygi.

„A jednak! niech co chcą mówią jest to rzecz straszna!

„Czy jest na świecie człowiek w którymby nie została kropla uczciwości albo iskra uczuć gorętszych? Sądzę że nie ma takiego. Największy zbrodniarz najstraszniejszej cierpi przed zbrodnią, a jednak popełnia ją...

„Dla czego tak się dzieje na ziemi? Rozaljo! ty i ja mamy prawo stanąć naprzeciw społeczności w której łonie dano nam życie i jego kierunek i zapytać ją: pani wielmożna dla czego tak strasznie okaleczyłaś twe dzieci?...

„Czy słyszysz odpowiedź jaką nam daje: Prawa i zwyczaje jakimi się rządzą dobre są i świetne; wysię sami porodzili się ze złemi sercami i czarną krwią w żyłach, samiście więc waszym upadkom winni!

„Wzywam do sądu zdrowy rozsądek! Jażem wien, że od dzieciństwa chowano mię jak kobietę? Że nie dano siły moim rękom ani hartu duszy? że pchnięto mię w obce kraje bez steru w umyśle ni sercu, na edukację za kulisy francuzkich teatrów i w zadymione sale domów gry w billard, karty i ruletę?

„Ha, moja zapewne wina żem uległ pokusom, ale znowuż dlaczego natura nie dała mi woli do oporu zdolniejszej? Mam więc ponieść pokutę za skąpstwo natury, niedołęztwo tych co mię hodowali i wynikające ztąd obłądki moje? Poniosę ją... a na odrozdzenie życia zmiażdżonego pomiędzy zgwałconą mi-

łością i oburzonem sumieniem, zostanie mi komfort.

„Przeszedłem się parę razy po pokoju, wypilem szklankę zimnego napoju i zaśmiałem się z siebie serdecznie.

„I cóż ostatecznie tak złego stało się lub stanie?

„Ożenię się z Wacławą i w tej już chwili ślubuję, że będę dla niej małżonkiem grzecznym, wyrozumiałym, pełnym względów i galanterji najczystszej wody. Kto wie? może gdyby nie ja gorzejby jeszcze trafiła! Ciebie babka wyswata za jakiego majątnego sąsiada i będziemy mieszkali z sobą o miedzę....

„W oczach ludzi, w salonach pozostaniemy obcy dla siebie, okazemy się nawet może niechętni sobie wzajem.... ale ile razy zapadnie korytna, Rozaljo, za kulisami tej sceny co się światem nazywa, znajdziemy się i wiecznie należęć będziemy do siebie.

„O, cóżby to była za przepyszna komedia, gdyby Wacława rozkochała się nawzajem w tym kto będzie twoim mężem! Wtedy tragedia serc naszych zamieniłaby się w śliczny wodewilek, odegrany ku wielkiemu zadowoleniu babki Hortensji, zbudowaniu publiczności, a dobremu humorowi aktorów....

„Rozaljo! serce mego serca! życie mego życia! nie rozpaczaj! nie rzucaj się jak lwica zraniona! nie męcz łzami twoich cudownych czarnych oczów!

„Śmieję się ze wszystkiego, jedyna, śmieję się do rozpuku z komedji świata!

„Niech grzmi rozgłośnie kapela weselna, niech organ kościelny huczy radośnie Veni Creator, niech ksiądz u Ołtarza krępuje mi ręce stulą... ja nigdy kochać cię nie przestam, ja wszędzie i zawsze cię znajdę i do ciebie jednę należęć będę na wieki.”

XXXVII.

„Jeżeli wolno mi będzie nazwać panią narzeczoną moją, powiem z całego serca, że jestem najszczęśliwszy z ludzi.” Słowa te, nieodstępni towarzysze kilku dni ostatnich, powoli wyłoniły się z mej pamięci i zawisły obok listu, którego czytanie skończyłam.

Pierwszy raz w życiu poczułam na ustach uśmiech gorzkiej ironji.

Spokojnie położyłam przed sobą pismo przeczytane, ręce opadły mi na kolana i siedziałam nieruchoma jak posąg. Tylko do okna odwróciłam się plecami, bo światło toczące się na zachód kuli słonecznej, krwawo rzuciło mi się w oczy a zamiast błękitnego nieba, na które z taką rozkoszą patrzyłam przed godziną, zobaczyłam rozciągniętą w górze poplamioną i brudną szmatę.

Zimno mi było. Czułam że krew krążyła w mych żyłach bardzo zwolna a serce stygło, niby ujęte bolącemi kleszczami z lodu.

Nie miałam ani jednej łzy w oku i ani jednej wyraźnej myśli w głowie. Tylko lękałam się niewymownie czegoś, czegoś niewidomego i doświadczałam takiego pocucia, jakiego doświadcza dziecię pozostawione wśród nocy między grobami cmentarza.

Po chwili zamknęłam oczy, a pod powiekami majaczyły mi zaczęły różne chwile i obrazy z przeszłości. Widziałam w nich oczy p. Agenora utkwione we mnie z miłością i rozmarzeniem, usta jego wymawiające wyrazy słodkie i upajające, posłyszałam znowu ostatnie słowa jakie wymówił do mnie na ba-

lu; porwałam się nagle z miejsca i krzyknęłam.

— Oszukiwał mię!...

Obrażona duma i godność kobieca z całą siłą zagrały we mnie, chłód który ścinał mię dotąd zniknął, krew zawrzała w żyłach i gorącym uderzyła do twarzy.

Stałam nieruchoma z dłonią przyciśniętą do pulsującej skroni i patrzyłam, jak z człowieka, którego tak długo stroiłam najpiękniejszymi barwami wyobraźni, opadały jedna po drugiej strojące go dotąd ozdoby; jak męstwo jego zmieniało się w mgnieniu oka w słabość dziecięcą, niemal, hart w niedołęztwo próżniaka, prawosć w obłudę, tkliwość w obłądłość kłamliwą. Na miejscu każdego z tych świetnych połysków, które mię w nim tak zachwycaly dotąd, ujrzałam plamę i wydało mi się, że widzę skielec człowieka wypolerowany po wierzechu i jak próchno w pośród ciemności błyszczący nikłym fosforycznym światłem, a z pod tej cienkiej warstwy lakieru i blasku, widniały czarne plamy toczące go gangreny. Nie miałam ani jednej łzy na ten widok, ale dreszcz przerażenia przeniknął mię aż do kości. Po raz pierwszy w życiu odbyła się przed memi oczami straszna metamorfoza człowieka w trupa, bohatera w nikczemnika.

— Tak więc, myślałam, człowiek ten nie kochał mię nigdy, a wziąć mię miał za żonę tylko dla unikięcia nędzy, którą odegnać nie mają mocy słabe jego, rozpróżniaczone ręce! Tak więc, owa dokładna znajomość Paryża i obcych krajów, którą się tak zachwycalam, owe awantury o których tak pięknie opowiadać umiał, owe polowanie na lwy, co dawały mi rękojmię hartu i odwagi jego, pochłonięły mu majątek, a ja opłacić miałam ich koszta mieniem memi życiem złamanem. Rozumiałam już wtedy tę przykrą zmarszczkę, co leżała na jego czole i wiedziałam dla czego w mistrzowsko wyrobionym jego głosie, zadźwięczała fałszywa nuta gdy mówił mi wyraz: kocham!

Jak lekceważąco i gorzko wyrażał się o mnie w liście swym do Rozalji! Nazywał mię dzieckiem ależ i sam myśleć musiał, że dziecko stanie się kiedyś kobietą i sam litował się nad przyszłym kobiety tej losem, odartym przezeń z tego wszystkiego, co życie czyni światłem i szczęśliwym!...

Zapagnęłam głębiej jeszcze zajrzeć w tę otchłań fałszu i nieuczciwości, która rozwarła się przed oczami memi, wychylić do dna kielichu jadującego się w liście p. Agenora. Rozwinęłam papier który trzymałam w zaciśniętej dłoni i po raz drugi list ten czytać zaczęłam.

Ale rzecz dziwna! im dłużej czytałam tem więcęj uspokajały się wzburzone uczucia moje. Milkła obraza, łagodniało przerażenie a z samego dna mego serca smutna i łzawa wyłaniała się litość.

W słowach listu z za występnej słabości i wstępnęj obłądki, dojrzałam niezmierną goręć i boleść człowieka który go pisał. Walki jego stoczone z sumieniem i miłością co go do innęj pociągało kobiety wypisane tam były między wierszami. Nie znałam walk takich ale przeczułam je, zakryłam dłońmi oczy i zawołałam zgłębi serca: O! nieszczęśliwy człowiek!

Za warstwą lakieru i fosforycznego połysku, jaka okrywała odarty z cudnych ozdób swych skielec p. Agenora, zobaczyłam jak po czarnych plamach toczące go gangreny, płynęły rzęsisiste łzy boleści. Po raz pierwszy miałam objawienie, jak wielka mo-

oczyszczenia i odkupienia leży w łzach takich, a składając ręce na piersi i podnosząc wzrok w niebo" wieczorne, szepnęłam: Boże! przebacz mi!

W tej chwili zawołano mnie do matki. Schowałam list za stanik sukni i przeszłam parę salonów powoli, bo w całym organizmie mym czułam słabość niewymowną i wzrok zasłaniała mi chwilami mglista opona.

Przy stoliku na którym paliła się lampa, siedziała moja matka z rozpromienioną twarzą i listem w ręku.

Spojrzała na mnie gdy przed nią stanęłam, ale czy była całkiem zatopiona w miłych swych myślach, czy przysłonięta ażurową zastaną lampą słabe rzuciła światło, zmiana mej twarzy uszła jej uwagi. Wzięła mnie tylko za rękę, przyciągnęła z wolna do siebie, i wymówiła głosem w którym była radość i miłość macierzyńskiego serca:

— Wacławo! Babka twoja otrzymała dziś list od p. Agenora W. z prośbą zaniesioną do niej i do mnie o twoją rękę. Oto ten list.

I podała mi kartkę papieru o wyłoconych brzegach. Nie wyciągnęłam ręki po pismo ale oparłam się o stół, bo nogi zachwiały się podemną i milczałam.

— Waciu! powtórzyła moja matka z pewnem zdziwieniem: czemu nie bierzesz pisma w którym jak spodziewam się, miłe dla siebie wyczytasz wyrazy?

Milczałam jeszcze. Usta moje otworzyły się parę razy, ale słowo żadne wyjść z nich nie chciało.

Matka coraz bardziej zdziwiona, przyciągnęła mnie bliżej jeszcze do siebie i uważnie mi w twarz spojrzawszy porwała się z miejsca, objęła mnie ramieniem i krzyknęła:

— Wacławo! co ci jest? czegoś ty taka blada?

W tej chwili znowu chłód niewymowny ostudził mi wnętrze piersi. W objęciu matki sztywna się czułam i pół martwa, a z tej sztywności otrząść się nie miałam mocy. Uczyniłam niezmiernie nad sobą wysilenie i z prośbą składając ręce cicho wymówiłam:

— Moja matko! odpisz p. Agenorowi, że ja żoną jego zostać nie chcę.

Ramię mojej matki które mi stan otaczało opadło nagle, odstąpiła o parę kroków i wpatrzyła się we mnie przestraszona niemal oczami.

— Dziecko! wymówiła po chwili zniżonym od przykrego wzruszenia głosem, to żeś mi sama przecie mówiła że go kochasz!

— Tak! kochałam go, ale teraz... załamalam ręce nagłym ruchem i zawołałam:

— Matko! lecz on mnie nie kochał nigdy!..

Przykre wzruszenie zniknęło z twarzy mojej matki, uśmiech znowu na jej ustach zaigrał. Wzięła obie moje ręce i patrząc na mnie łagodnie rzekła:

— To dziecinne himery Wacławo, rozpieszczone z ciebie dziecko, a wyobraźnia twoja kapryśna jest i ognista. Zkąd ci znowu ta myśl że p. Agenor cię nie kocha? Możeście się poróżnili chwilowo? Może powiedział ci cokolwiek czegoś nie rozumiała i wytłómaczyłaś sobie błędnie? To dzieciństwo, Wacławo! Najlepszy dowód, że on cię kocha masz przecie w tem, że oświadcza się o twoją rękę.

Swobodnemu i lekceważącemu słowami memi uśmiechowi mojej matki, odpowiedziałam gorzkim uśmiechem ironji, który przemocą wdarł mi się na usta. Czułam że powinnam była zebrać wszystkie me siły, aby zwalczyć złudzenie mojej matki. Poczucie to wzmościło mnie nagle, słabość jaką poczułam przed chwilą zniknęła i pewnym głosem zaczęłam mówić:

— Moja matko! Bog dobry pozwala aby człowiek w najrańszej przynajmniej porze swego życia, zachował złudzenia cudowne złożone w jego sercu może na pamiątkę lepszych światów, z których na

ziemię tę zstąpił. Jam wczoraj jeszcze, dwie godziny nawet temu, złudzenia te miała i myślałam, że ludzie noszą prawdę w sercach a miłości kłamać nie umieją. Ale przed chwilą, otworzyły się oczy na ciemności tego świata i wiem już teraz, wiem z pewnością, że bywają ludzie, którzy udają miłość dla tego, aby móżd zdobyć bogactwo a jednym z takich ludzi moja matko, jest p. Agenor.

Fałdy na czole mojej matki zagłębiły się bardzo, twarz jej przybrała gniewny niemal a bardziej jeszcze niespokojny wyraz.

— Nie pojmuję, odrzekła, zkąd ci się wzięły te myśli...

— Ztąd, przerwałam, iż dowiedziałam się na pewno, że pan Agenor kocha nie mnie lecz Rozalję.

Tu ku wielkiemu memu zdziwieniu twarz mojej matki rozpogodziła się nagle. Zaśmiała się nawet żartobliwie, i znowu łagodnie a zarazem poważnie zaczęła mówić:

— Widzę z tego wszystkiego Waciu, że ktoś narobił plotek pomiędzy wami ale ja ci całą tę rzecz wyjaśnię. Mówiono wprawdzie i sama wiem o tem, że p. Agenor zajmował się kiedyś Rozalją, ale moje dziecko, żadna z nas kobiet obiecywać sobie nie może, iż będzie pierwszą miłością mężczyzny którego wybierze. Ty, jak mówiłam już nieraz, jeździsz dotąd na gwiazdzie wysoko nad ziemią i nazbyt idealizujesz życie i jego sprawy. A jednak moja droga, powinnaś ośwoić się z myślą, że są na świecie konieczności smutne może, ale z którymi pogodzić się trzeba.

Jedną z takich jest pewność, że kobieta wychodząc za mąż nie może znaleźć serca swego męża w stanie pierwotnej świeżości, i ani spodziewać się powinna, aby nie było w niem śladów swobodnego nieraz uprzedniego życia. Niemniej jednak serce to poznawszy już nietrwałość i małą wartość uczuć minionych, tem silniej i trwalej przywiązać się do niej może. a co mu zbędzie przez to na idealności i świeżości młodzieńczej, to większą dojrzałością i stałością wynagrodzi. P. Agenor wcześniej rozpoczął życie i był zawsze światowym człowiekiem, nie dziw więc, że miał różne sympatje i mniej lub więcej ścisłe serdeczne związki z których jeden łączył go z Rozalją. Miłostka ta jednak i wiele innych może podobnych o których nie wiemy, ale które zapewne być musiały, nie wyziębły jego serca i dość mu było poznać cię aby pokochać stale i gruntownie. Co było to było a teraz ty panujesz w jego sercu, ciebie on kocha i pragnie mieć za żonę, od ciebie więc tylko zależy....

Nie pozwoliłam jej skończyć i przerwałam:

— Mylisz się droga mamu, uczucie p. Agenora dla Rozalji nie było miłością, ale miłością i nie tartło się wcale w jego sercu. Kocha on Rozalję teraz więcej niż kiedy, a ze mną ożenić się chce tylko dla tego, że jest zrujnowany i obawia się niedostatku...

W głosie moim gdy to mówiłam, była taka pewność i pomimo mej woli taka w nim przebijała się boleść, że matka moja upadła na krzesło przerażona niemal i zawołała:

— Ależ na miłość Boga, Wacławo, zkąd w tobie ta pewność okropna? Kto ci takich rzeczy nagał? O! krzyknęła nagle niosąc rękę do czoła, wiem już: mówiono mi przed chwilą że Rozalja była u ciebie. Ona w nim zakochana dotąd, wiem o tem, musiała go przed tobą okłamać! Ale nie wierz jej dziecko moje, ta żmija obłudna i złośliwa zazdrości ci i chce stanąć na drodze do szczęścia....

Przeciwnie, matko, odrzekłam, ona stanęła mi na drodze do zguby. Nie łaj ją ona sama bardzo nieśczęśliwa, nieokłamała przedemną p. Agenora, ale dowiodła mi że nie jestem i nie byłam nigdy przez niego kochaną.....

Matka moja z silnym rumieńcem, który w czasie rozmowy tej wybił się na jej policzki, półgniewnie, pół ze smutkiem odwróciła się odemnie i rzekła:

— Widzę Wacławo, że rozmowa z tą niedobrą dziewczyną nazbyt cię wzruszyła, abyś mogła w tej chwili mówić ze mną o rzeczy tak ważnej. Idź i zajmij się dziś czem zechcesz, a jutro rano gdy ci spokój nocy przywróci rozwagę i łagodność, jaką dotąd zawsze w tobie znajdowałam, wezwę cię i ob. szerniej o tem pomówimy. Tymczasem ja odpowiem ci p. Agenorowi odłożę także do jutra. Nazbyt cię kocham i sama nazbyt doświadczona byłam losem, abym miała kiedykolwiek chęć kępowania twój woli w tak stanowczym postępku jakim jest zamążpójście, ale znowu ta sama miłość moja dla ciebie i świadomość życia i jego warunków, nie pozwolą mi abym zgodziła się na odrzucenie propozycji, z pewnych powodów bardzo dla ciebie korzystnej, dla przyczyn błahych i dobrze nieuzasadnionych....

Te słowa matki przeszły mię większą boleścią niż ta, jakiej dotąd doświadczałam. Spostrzegłam, że raniłam jej serce, zawodziłam tak miłe dla niej nadzieje, unicestwiałam plany osnute przez nią oddawna. Zapragnęłam usprawiedliwić się przed nią, wyprowadzić ją z błędu, zakończyć ten spór pierwszy pomiędzy nami a tak dla nas obojdwóch bolesny. Mimowolnym prawie ruchem wydobyłam z za stanika list p. Agenora i podając go matce rzekłam:

— Weź pismo to moja matko i przeczytaj je, a złudzenia twe względem tego człowieka pierzechną tak, jak moje pierzechnęły.

Ze zdziwieniem wzięła list a spojrzawszy wprzód na datę i podpis czytać zaczęła. Patrzyłam na poruszenia jej fizjonomji i widziałam, że stopniowo im dalej po wierszach pisma posuwały się jej oczy, twarz jej bladła, fałdy na czole zagłębiały się i wargi drzeć zaczynały. Długo trzymała wzrok szklano przykuty do jednej litery jaka stanowiła podpis. Potem wypuściła z rąk papier i padając na krzesło wyszeptwała bardzo blada:

— Nikczemny!

Zbliżyłam się i obie jej ręce gorąco do ust poniosłam.

— Nie nazywaj go tak matko moja, rzekłam, bo mnie za niego serce boli....

Spojrzała na mnie łzawym wzrokiem.

— Biedna! ty kochasz go jeszcze! ty walczysz z twem uczuciem dla niego!

Na te słowa czułam sama, że wyprostowałam się hardo.

— Kochałam go, matko, odrzekłam bez najlżejszego drżenia w głosie, ale teraz gdy przeczytałam to fatalne pismo, jakżeby go kochać mogła? Nie, nie kocham go, ale może już serce moje tak utworzone, że nienawidzić ani pogardzać nie zdoła... Lituję się nad nim matko, mnie żal jego, wielki żal on słaby... nieszczęśliwy...

Pociągnęła mnie na swe piersi i gorącym ogarnęła uściskiem, a z po za łez patrząc mi w twarz mówiła:

— Nie dam cię jemu, śliczne dziecię moje; o nie dam cię jemu! Tyś powinna być kochaną! na licu swem i w sercu masz takie bogactwo, że kto go nie oceni posiadać go nie wart. Niech co chce stanie się, ja cię jemu nie oddam!

Po chwili zakryła twarz dłońmi, wzdrygnęła się i szepnęła:

— Ale cóż się stanie? mój Boże! co się stanie?

Nie pojmowałam tych zagadkowych słów mojej matki i jej niepojętych dla mnie obaw, ani nawet miałam siłę zapytać ją lub siebie samą o ich znaczenie.

Poczułam tylko ulgę na widok jej miłości; pierwszy raz w ciągu całego przejścia, źródło łez otworzyło się w mem sercu i zwilżyło płonące moje oczy.

Płakałam na piersi matki długo, rzewnie, a gdy w godzinę potem znalazłam się samotna w alkuwie mojej sypialni, zebrałam w pamięci wszystkie chwile wzruszeń jakich doświadczyłam przy p. Agenorze, wszystkie chwile marzeń o nim przy białym świetle lampy nocnej, wszystkie chwile trwożnych a rozkosznych rojeń o wspólnej z nim przyszłości: zgarnęłam pamięcią wszystkie te chwile i wraz z opadłymi liśćmi wspaniałego kwiatu mojej dla niego miłości, pogrzebałam je w głębi serca.

Obok skromnej i cichej mogiły w której leżała pogrzebana eteryczna i wpół dziecięca sympatja moja dla Franusia, podniosła się druga większa, smutniejsza. Bo gdy na tamtej kwitł tylko smętny ale spokojny kwiatek niezabudki, nad tą mglistą i groźną unosiła się mara zwątpienia. Kołatała mi się ona po sercu i głowie nad uchem, krzycząc straszne pytanie: i w cóż mam wierzyć na świecie?

XXXVIII.

Nazajutrz wcześnie weszłam do pokoju matki i znalazłam ją zajętą pisaniem listu. Złożyła pismo, oddała je czekającemu u drzwi posłańcowi, a gdy odszedł rzekła do mnie:

— Wysłałam do pana Agenora odmowną odpowiedź.

Gdy to mówiła, spostrzegłam, że była bledszą niż zwykle, ale w twarzy jej nie było żalu, owszem, malowało się w niej silne postanowienie, kiedy niekiedy tylko mączone przeblyskiem niepokoju.

— Teraz, mówiła dalej, pojedziemy do Rodowa aby uwiadomić babkę Hortensję o tem co zaszło. Będziemy musiały stoczyć z nią walkę tem przykrzejszą, że nie mamy prawa pokazać jej listu, będącego jedynym dotykającym dowodem, iż postępowanie nasze słusznem jest a nawet koniecznem. Listu tego nikt prócz nas dwóch widzieć nie powinien, sehowaj go pilnie u siebie i przy pierwszym widzeniu się oddaj do rąk Rozalji. Szalona to dziewczyna, ale z szaleństwa jej korzystać nie mamy prawa. Babka Hortensja będzie zdumiona i rozgniewana i daj Boże, aby to zajście przykrych skutków nie wywarło na twoją i moją egzystencję...

Po południu jechaliśmy do Rodowa. Obie z matką byłyśmy blade i zamyślane ale spokojne. Ja wspierałam widocznie miłość macierzyńska, bo tkliwiej jeszcze niż zwykle patrzyła na mnie, ja z zadumą wpatrywałam się w mogiłę świeżo usypaną w mem sercu i myślałam, że pogrzebałam w niej nie miłość prawdziwą ale marzenia, poryw wyobraźni co oamiona młodemi pragnieniami upojona światowym wirami, nie potrafiła rozróżnić prawdy ze zwodnym połyskiem i zamiast człowieka, który istniał w rzeczywistości, kazała mi ukochać stworzoną i do ideału podniesioną przez siebie marę.

Babki moje obie jak zwykle siedziały w bawialnej swego domu szufladzie zatrudnione wyrabianiem frywolitek i kwadratów. Od progu już spostrzegłam, że babka Hortensja utkwiała we mnie oczy ciekawe i przenikliwe. Powitała nas z największą uprzejmością do jakiej była zdolną, a w kilka chwil potem zwróciła się do mojej matki ze słowami:

— Zapewne Matyldo, przyjechałaś aby mi oznajmić, że córka twoja została już narzeczoną p. Agenora? Spodziewam się że i on sam wkrótce tu przybędzie...

Bladość mojej matki zwiększyła się, fałdy leżały

na jej czole głębokie i smutne. Spokojnie jednak odrzekła:

— Kochana ciociu, plany które dla przyszłości Wacławy raczyłaś układać a które i ja potwierdzałam z całego serca, nie mogą być spełnione. Uznałam, że Wacława nie może i nie powinna zostać żoną p. Agenora, i przed kilku godzinami posłałam już odpowiedź w której odmawiam mu ręki mojej córki.

Z palców babki Hortensji wypadł kłębuszek bawełny, ręce jej opadły na kolana a oczy utkwily w twarzy mojej matki z wielkiem zdumieniem.

— Co powiedziałaś Matyldo? Zdaje mi się że nie zrozumiałam cię dobrze? ozwała się twardym głosem.

— Powiedziałam, zawsze spokojnie odrzekła moja matka, że odmówiliśmy p. Agenorowi i że Wacława żoną jego nie będzie. Brwi babki Hortensji zsunęły się a na policzki jej bladawy wystąpił rumieniec.

— Czyliż dostąpię zaszczytu dowiedzenia się o powodach tego nierozsądnego postępku? wymówiła pałając gniewem i oczy posuwając z twarzy mojej matki na moją.

— Zanadto szanuję cię i kocham, droga ciociu, zaczęła moja matka, zanadto cenię życzliwość twą, którą chciałaś okazywać mnie i mojej córce, abym sprzeciwiając się twój woli nie wyjaśniła ci powodów, dla których czynię to jestem zmuszoną. Odmówiłam p. Agenorowi ręki Wacławy dla tego, że przekonałam, się iż nie tylko on jej nie kocha, ale że do zenienia się z nią zachęcało go jedynie pieniężne wyrachowanie, że małżeństwo to uważał sobie za nieszczęście do przyjęcia którego zmuszała go majątkowa ruina; nieszczęście tem dotkliwsze dla niego iż najżywiej jest zajęty inną kobietą.

Babka wzruszyła pogardliwie ramionami i uśmiechnęła się szydersko.

— Mój Boże! odrzekła, a czy niemożna wiedzieć kto jest ta kobieta, to widmo waszej rozmarzonej wyobraźni?

— Rozalja, powoli wyrzekła moja matka.

— Ha, ha, ha, z przykrą ironją zaśmiała się babka, jakżeż stare opowiadacie mi dzieje: toć to wieki średnie. Matyldo znać bardzo mało interesują cię sprawy twojej familji, jeżeli nie wiesz o tem, że głupia ta miłostka p. Agenora z Rozalją od dawna należy do niepowrotnej przeszłości.

— W istocie, przerwała moja matka, sama sądziłam, że była to tylko miłostka, która już minęła, i dla tego nie widziałam w niej żadnej groźby dla przyszłości Wacławy, jeśliby wyszła ona za p. Agenora. Ale teraz wiem z pewnością, że jest inaczej i że p. Agenor uczynił z sumieniem swem kompromis, skazujący Wacławę na zostanie żoną człowieka kochającego inną kobietę, i bynajmniej nie zdecydowanego na zwyciężenie lub choćby próbę zwyciężenia tej miłości...

Im dłużej mówiła moja matka, tem różowszy rumieniec okrywał policzki babki Hortensji i z większą szybkością ścisnęły się i rozwierały wargi jej usta.

— I któż to, ozwała się w końcu przesywającym tonem, i któż to paniom udzielił tych przyjemnych i pożytecznych wiadomości? Czy można to wiedzieć?

— Na to o czem mówiłam, mamy niezbite i dotykające dowody, ale wybacź, droga ciociu, pewne względy nie pozwalają mi wyjawić przed tobą, kto nam ich udzielił.

— To może przynajmniej dowody te okazać mi raczysz?

— Nie, ciociu i tego uczynić nie mam prawa.

Babka Hortensja powstała z miejsca wyprostowana i sztywna.

— Matyldo! zaczęła twardym i suchym głosem, nigdy nikt z familji tak często jak ty nie sprzeciwiał się mojej woli. Wyszłaś za mąż pomimo oporu jaki

małżeństwu temu stawiałam przez co zrobiłaś megalians przynoszący wstyd rodzinie. Przysłaś do rozmowy i rozstałaś się z mężem, byłam zadowolona z ciebie i chciałam, abyś rozwiodła się i została żoną księcia X., który się starał o twą rękę. Dla niepojętego mi dotąd kaprysu, odmówiłaś księciu i powstrzymałaś rozpoczęte już kroki rozwodowe. Pamiętaj, że wyraziłam ci wówczas moje żywe niezadowolenie, a ty zamiast starać się naprawić swój błąd innym jakim stosownym marjażem, do którego tyle nastęrczało ci się partji, o mało nie wróciłaś do męża, aby dzielić z nim znowu sławę bakałarza i chleb wyrobnika....

— Bodajbym to była uczyniła! drżącymi usty szepnęła moja matka. Babka przeszła ją na wskrós gniewnemi oczyma.

— Tak, ciągnęła, znam dobrze twoją przewrotną głowę i fantastyczne porywy, któremi się rządysz. Ale dzięki Bogu, ja stałam przy tobie na straży i nie pozwoliłam abyś raz jeszcze pociągnęła wspólne nasze imię w tę zgraję plebejuszów, pomiędzy którą podobają ci się wybrać sobie męża, i abyś powróciła do człowieka co grubiaństwem odpłacił ci zaszczyt, jakim go obdarzyłaś zostając jego żoną.

Matka moja żywo się poruszyła i rumieńce trysnęły na jej twarz bladą.

— Moja ciociu! zawołała czyniąc wyraźne wysilenie dla zachowania spokoju, albowiem ci mówiła kiedy, że ojciec Wacławy nieprzywoicie obchodził się ze mną? Nie, nie mówiłam tego bo bym kłamała, a wiesz sama o ile niezdolna jestem do kłamstwa. Poróżnienie nasze wynikło z różnicy przyzwyczajęń i zamiłowań naszych, i kto wie moja ciociu, może on właśnie był w prawdzie....

Babka uczyniła ręką gest wzgardliwy.

— Zostawmy na stronie tę przykrą przeszłość twoją, wyrzekła oschle, co się stało to się nie odstać, ale ja która przez wiek i majątek jestem głową familji i stoję na straży jej rodowego honoru, chcę aby Wacława małżeństwem swem wynagrodziła smutne małżeństwo przez jej matkę zawarte. Dla tego od dawna zwróciłam uwagę na pana Agenora, bo z wyjątkiem tego dziwaka hr. Witolda, posiada on najznakomitsze imię w prowincji i najzaszczytniejsze familijne koligacje. Co zaś do jego majątkowej ruiny, o tę proszę się nie troszczyć, bo podjęłam się wynagrodzić ją wydzwignieniem z toni twego funduszu Matyldo i obdarzeniem Wacławy bogatym wianem. Co przyrzekłam to dotrzymam, ale wola moja jest niezłomną. Chcę aby Wacława została żoną człowieka, którego jej na męża przeznaczam i naprawiając niedorzeczność przez was popełnioną, natychmiast napiszę do pana Agenora, aby przybywał do Rodowa powitać swoją narzeczoną, której ręką ja rozporządam sama.

Tu uczyniła poruszenie jakby odejść chciała, lecz moja matka podniosła się z wolna, spokojna ale wyprostowana i poważna zastąpiła jej drogę.

— Nie uczynisz tego moja ciociu, wyrzekła stanowczo, bo lubo szanuję znaczenie twe w familji i wysoko cenię twoje dla Wacławy względy, nie mogę, nie mam prawa zrzec się opieki nad moim dzieckiem i oddać je człowiekowi, o którego nieuczciwości i obojętności dla niej zupełnie jestem przekonana. Brwi babki zsunęły się groźnie, i po bladawo zrumienionych jej policzkach przebiegło parę drgnień nerwowych. Podniosła w górę biały swój palec i wyrzekła suchym ale przenikającym głosem:

— Matyldo! strzeż się!

Głowa mojej matki opadła na piersi, westchnienie ciężkie choć stłumione piers jej podniosło. Babka wyciągnęła ku niej wskazujący swój palec i dodała:

— Pomyśl co stanie się z tobą i z tem zuchwałem twoim dzieckiem, jeżeli ja cofnę od was moją rękę.

Bładość mojej matki zwiększyła się, stała nieporuszona i milczała. Ja z sercem zamierającym w piersi patrzyłam na nią, a na widok boleści i przygnębienia, które coraz wydatniej twarz jej pokrywało, poczułam pragnienie wyjścia z biernej mojej roli i odpowiedzenia babce, że uczynię wszystko czego odemnie żąda, że biedną przyszłość moją oddam w jej ręce byle tylko nie dręczyła matki mojej, byle uczyniła to, co jej spokój przywrócić może. Myśl ta zabłysnęła w mej głowie jak paląca strasza błyskawica, powstałam i zbliżyłam się do babki, ale usta moje otworzyć się nie chciały. Czułam na piersi schowany za stanikiem list p. Agenora, a poczucie to zatrzymywało mi głos w gardle. Powiedzieć, że zgadzam się na zostanie żoną człowieka, który nie miał w sercu prawdy ni miłości dla mnie, który po istnieniach ludzkich deptał jak nieroztropne dziecko po kwiatkach, złamać do reszty życie tej biednej, tej szalonej Rozalji nad którą litowałam się, ale której nienawidzić nie mogłam i nie powinienam była.... powiedzieć to wszystko i jednym słowem zniszczyć cały urok życia i wszystkie cudowne sny młodości oddać wichrowi rozpacz, ach! nie mogłam... nie mogłam...

Otwierałam usta, ale żadne z nich nie wychodziło słowo i patrzyłam na babkę z milczącym błaganie. Tymczasem matka moja stała nieporuszona, ręką o stół oparta, w bolesnej zatopiona myśli. Babka Ludgarda wzruszona ze łzami w oczach patrzyła na siostrę swoją, która wyprostowana, sztywna, z uśmiechem zimnego tryumfu na wężkich wargach, przenikliwie piwne swe oczy przesuwająca z wolna po bladych i niemych naszych twarzach. I nie wiem jak długo trwała ta chwila ciężkiego milczenia: zdawało mi się tylko, że mroczny salon ciemniejszym był jeszcze niż zwykle; i machinalnie słuchałam jak ciszę głęboką przerywało monotonne tentno ściennego zegara.

Nagle do tentna tego inny, przychodzący z zewnątrz domu przyłączył się odgłos. Było to jakby zbliżające się stłumione murawą dziedzińca stąpanie konia. Stawało się ono coraz bliższe i bliższe, za oknem mignął szybko cień wysoki, potem w przyległej sali dały się słyszeć pośpieszone kobiece kroki, i w drzwiach ukazała się Rozalja w czarną ubrana amazonkę. Była zupełnie inną jak dnia poprzedniego. Zamiast rumieńca wzburzenia miała na twarzy bladość boleści: zamiast zuchwałego gniewu pokori i błaganie. Spodziewała się widać znaleźć nas wszystkie zebrane, bo nie wydawała się zdziwioną. Zatrzymała się chwilę we drzwiach i rękę o drzwi oparła jakby siły ją opuszczały. Babka Hortensja utkwiała w nią spojrzenie.

— W samą porę przybywasz Rozaljo, wymówiła dość głośno, aby mowa jej posłyszana być mogła przez stojącą zdala od nas przybyłą; mówiłyśmy właśnie o tobie i potrzebną jesteś dla rozwiązania pewnej zagadki, której nikt tu rozwiązać mi nie raczy. Zbliź się!

Rozalja postąpiła naprzód, i powolnym ale pewnym krokiem przebyła całą długość salonu. Potem milczącym skłonieniem głowy powitała wszystkich, i stanęła przed babką Hortensją ze spuszczoneym wzrokiem. Spostrzegłam na oczy jej tak palące zwykle, teraz były bez blasku a powieki miała nabrzmiałe i zaczerwienione. Babka patrzyła na nią przez chwilę w milczeniu i ze zsuniętymi brwiami, potem wyrzekła twardo i surowo:

— Pragnę abyś mi powiedzieć raczyła, czy długo jeszcze zamiarem twoim będzie, mieć sprawy familijne, i sprzeciwiać się moim rozporządzeniom i chęciom? Czy długo jeszcze popełniać będziesz szaleństwa twoje i męszać głupie pomysły twój romansowej głowy, do poważnych spraw familijnych? Powiedz mi zaraz co nagadałaś Wacławie i jej matce

o człowieku, który był dość nierozważnym aby kiedyś zawiązać stosunek z taką złośliwą i lekkomyślną jak ty dziewczyną? Wiem dobrze, choć mi o tem nie powiedziano, że to twoja robota. Powtórz że przedemną te baśnie wylęgte w twój rozbijały wyobraźni.... Czegoż milczysz? No, podnieśże oczy... zobaczmy czy będziesz miała odwagę przedemną te baśnie powtórzyć!...

Rozalja podniosła oczy, odetchnęła głęboko i wymówiła z wolna.

— Tak babciu, tę odwagę.... będę miała.....

Głos jej stłumiony i głęboki zdawał się z ciężkością wychodzić ze zmęczonej piersi. Umilkła na chwilę i potoczyła zamglonym wzrokiem po wszystkich twarzach, potem zwróciła się znowu do babki Hortensji i mówiła dalej:

— Wiedziałam dobrze iż dziś znajdę tu Wacławę i przyjechałam umyślnie dla tego, aby w jej obecności powtórzyć przed tobą babciu, to wszystko, co wczoraj przed nią mówiłam.....

Babka zaśmiała się wzgardliwie i wzruszyła ramionami.

— Jeśli dla tego tylko przybyłaś, rzekła, aby powtarzać te romantyczne androny o których słyszałam już niegdyś od ciebie, mogłabyś oszczędzić sobie fatygi i siedzieć w domu... Bo co do mnie rozkażę ci przeciwnie odwołać niegodną potwarz jaką rzuciłaś na człowieka, który będzie mężem Wacławy....

Rozalja wyprostowała się, słaby rumieniec przebił się z za bladości pokrywającej jej policzki.

— Potwarzy nie rzucałam na nikogo, wymówiła z wolna, dobitnie.

To co powiedziałam Wacławie jest prawdą i przybyłam tu, aby ją o tej prawdzie raz jeszcze uwiadomić w innej wszakże intencji, niż to czyniłam wczoraj. Wczoraj byłam wzburzona cała, oblakana rozpaczą.... szukałam tylko sposobu pomszczenia się nad Wacławą i wiania w jej serce niczem nieodegnanej goryczy.... przez noc upłynioną rozpacz moja roztopiła się w łzy.... płakałam oddawna poraz pierwszy i dziś jestem lepsza.... dziś mam na myśli ratować Wacławę a jeśli można i siebie..... dziś przybyłam do ciebie babciu znowu z ostatnim błaganie.... Głos jej zadrżał, ręce złożyła jak do modlitwy i oczy zasłane łzami utkwiała w twarz babki.

— Babciu, mówiła dalej głosem przerywanym, zważ co chcesz uczynić! Trzy istnienia złamiesz, trzy serca na proch zmiażdżysz! On mnie kocha — jak to słońce świeci na niebie tak to jest prawdą.... dla czego kochając mnie nie chce mnie wziąć za żonę? O, babciu! ty wiesz o tem! Może kto zadziwi się że pomimo to nie gardzę nim — że duma kobieca nie zabiła we mnie uczucia dla niego! O mój Boże! alboż wiem sama dla czego tak jest? Niech Bóg i ludzie sądzą go, ja nie usprawiedliwiam nic, o nie nie obwiniam.... ja kocham tego komu w dzieciństwie jeszcze prawie oddałam moje serce, czyją w obec Boga i sumienia żoną jestem i nikogo więcej nie kochałam na świecie, i jeśli on nie zostanie moim mężem, ani do niego ani do nikogo należeć nie będę nigdy....

Załamala ręce i krzyknęła z wysileniem.

— Zbłądziłam! tak! wiem o tem! jestem nędzną, obłudną i złą istotą! Burze co wrzały wciąż we mnie zamknęłam pod maską pozornego spokoju.... nie lubiłam ludzi i język mój zamieniłam w żądło kolące! Wyznaję winy moje, wyznałabym je w obliczu całej zebranej ludzkości, gdyby ona tu stała przedemną, ale pokutowałam.... pokutuję.... przeniosłam straszne męki.... czułam w samej sobie powolne konanie wszystkiego co było we mnie dobre.... usychanie i opadanie wszystkich świeżych kwiatów młodości.... umierałam razem z niemi a po każdej takiej śmierci

budziłam się coraz gorsza.... Ale zważcie proszę czy wszystko, wszystko na moje barki złożyć należy? Czy ja sama uczyniłam siebie taką jaką jestem?...

— A któż cię taką uczynił? szalona istoto, wzgardliwie zapytała babka Hortensja.

— Kto? rzekła Rozalja i po chwili dodała ciszę: ty babciu!

Babka zbliżyła bardzo i uczyniła ręką gest nakazujący milczenie, ale Rozalja nie zwróciła na to uwagi i mówiła dalej głosem, którego uniesienie łagodzone było niezmierną żalnością:

— Wszak ty to babciu byłaś mi od dzieciństwa mistrzynią i kierownicą, bo matka moja ślepym zawsze twój woli była narzędziem.... Ty mi naprzód przestrogi swymi wlaś obłudę w serce, bo kazałaś milczeć gdy mówić chciałam, okazywać się dzieckiem gdy czuła się już kobietą.... myśl każda, każde uderzenie serca miarkować i stosować do praw ścisłego konwenansu.... Ty wychowaniu memu nadałaś kierunek błędny, okryłaś mię pozorami blasku a nie dałaś treści duchowej co jest dla życia opoką... nauczyłaś gry na fortepianie i mówienia obcemi językami, a nie dałaś pojęcia o pracy któraby od próżnych marzeń ognistą mą strzegła głowę.... Marzyłam więc i wymarzyłam miłość.... znalazłam jej urzeczywistnienie i do niej przykułam życie.... a kiedy potem błagałam cię abyś garścią złota okupiła błąd mój, uświęciła go zezwoleniem świata i ołtarza, odrzuciłaś mię, odepehnęłaś, powiedziałaś że człowieka którego kocham wszechmocna twoja ręka przeznacza dla innej twój wnuczki, której ojca gminne nazwisko on miał swem arystokratycznym osłonić imieniem.... Boże mój! jaka strasza była to chwila, w której od ciebie wtedy odeszłam.... Babciu tyś wtedy zgubiła duszę moją!... Tyś i sama nie wiedziała co uczyniłaś. Myślałaś że jestem dziecko z niedowarzoną głową, albo jedną z tych zimnych lalek co zwą się w świecie dobrze wychowanymi pannami.... A ja byłam kobietą.... grzeszną, ale silną i uporezyw w upadku i w grzechu... Wraz z miłością upadek mój legł mi na sercu kamieniem ciężkim, i serce całe w kamień mi przemieniło... w kamień płonący jak żarzewie a niewygasty, i oto, masz mię babko moja przed sobą taką jaką mię uczyniłaś, a jednak Anioł stróż mojej młodości nie zupełnie jeszcze uleciał odemnie, i szepce mi jeszcze gdzieś na samem dnie mojej duszy, że mogę być inną, mogę pochwycić na nowo światło utracone, enotą błąd zmazać... byleby tylko danem mi było, to bez czego być mi inną nie sposób...

Podniosła obie dłonie do twarzy i załkała głośno, potem przystąpiła bliżej jeszcze do babki i znowu ręce do błaganie złożyła:

— Babciu! zawołała, przebac! nie chciałam ci czynić wyrzutów! Wytoczyły się one z ust moich jak lawa z krateru wulkanu, który chyba ręka Boga powstrzymać może! Przebac mi! Nie chciałam cię obrazić! Jam dziś lepsza niż byłam dawniej! Przyszedłam do ciebie z ostatnią prośbą, z ostatnią nadzieją! Nie oddawaj mu Wacławy, on ją nieszczęśliwą uczyni! Oddaj mu mnie a daj nam tyle tylko, aby on nie miał nędzy której się obawia. Ja podejmuję się podnieść i wzmocnić jego ducha, będę go tak kochała, będę dla niego tak dobrą, łagodną, poświęconą, że bez bogactwa będzie się czuł szczęśliwym... Nauczę go pracować... oboje pracować będziemy... daj mi teraz tyle tylko, aby stłumić w nim nędzy obawy... Babciu! będziesz sama szczęśliwa swym dziełem... Wacława wyjdzie za mąż... ona tak młoda, taka piękna... ożeni się z nią inny jaki z brzmieniem nazwiskiem... a jego mnie oddaj!.

Mówiąc to wszystko beładnie z wybuchami łez i proźby naprzemian, Rozalja upadła przed babką na klęczki i drżącymi ramionami objęła jej kolaną.

Babka Hortensja zdawała się być w posąg zmieni-
oną. Na bladej twarzy jej nie było ni litości, ni
gniewu, głowa tylko po raz pierwszy odkąd ją zna-
łam opadła na piersi, powieki zasłoniły surowe źre-
nice, a na czole wśród zmarszczek licznych występo-
wały zwolna nowe bruzdy, niby nowych rodzących
się w głowie myśli zwiastuny. Nie odtrącała kłę-
zącej przed nią łkającej Rozalji i kilkanaście sekund
stała niema i nieporuszona, jak wyrocznia trzyma-
jąca w swą władzy losy ukorzonych przed nią
śmiertelnych.

Po chwili opuściła swą białą chudą rękę na ramię
Rozalji i wyrzekła. Wstań!

Głos jej mniej twardo brzmiał jak wprzód. Mo-
że ten dźwięk złagodzony wywołał słaby błysk na-
dziei na twarz Rozalji, porwała się z kłęczek i ze
złożonymi ciagle na piersi rękami stanęła przed
babką.

— Zkąd ci ta pewność niezłomna że on nie kocha
Wacława? zabrzmiało po chwili pytanie babki Hor-
tensji.

— Alboż cię babciu nie przekonał o tem list,
który wczoraj Wacławie oddałam? spytała Rozalja.

— Żadnego nie czytałam listu, odrzekła babka.

Rozalja wpatrzyła się we mnie zdziwionemi
oczami.

— Jakto? zawołała nie pokazałaś babce listu
tego.

— Nie pokazałam go nikomu prócz matki mojej,
bo ona i ja to jedno, odrzekłam.

— Cożes z nim uczyniła?

— Postanowiłam nosić go przy sobie, aby wy-
padkiem nawet nie dostał się w obce ręce, a przy
pierwszej sposobności oddać ci go Rozaljo.

Patrzyła na mnie długo, długo, czarne jej źrenice
łagodnym poczęły zachodzić rozrzewnieniem, wy-
ciągnęła do mnie rękę i wyrzekła.

— Wacławo! oddaj mi list ten.

— Dostałam papier z za stanika, a Rozalja podała go
babce.

Milczaliśmy wszystkie powstrzymując oddech: bab-
ka Hortensja usiadła na fotelu i list pana Agenora
czytała.

Wątpię czy ktokolwiek z nas zdołał wtedy jaką
dobrą lub złą wróżbę z jej postawy i twarzy wy-
czytać. Siedziała sztywna, prosta, z listem podniesio-
nym do oczów tak, że mogłyśmy widzieć tylko jej
profil bladej i nieruchomej jak sylwetka z marmuru.
Kiedy niekiedy tylko w ciągu czytania, po nierucho-
mości tej przebiegał rumieniec bladej, a wtedy no-
wa bruzda wypływała na pomarszczone czoło.

Skończyła, ręce trzymające list zaplotła na ko-
lanach i milczała. Powieki jej znowu w dół się spu-
ściły, a wąskie wargi poruszały się zwolna rozwiera-
jąc się i ściskając naprzemian. Podniosła potem
wzrok, utuliła go w Rozalji i wydało nam się jakoby
szepnęła: nieszczęśliwa!... Wydawało nam się tyl-
ko, że to wyrzekła, ale nie byłyśmy tego pewne bo
szepot jej był tak cichy, że żadnego prawie nie wydał
dźwięku. Potem podniosła się zwolna, podeszła do
okna i odwróciła się do nas plecami.

Patrzyłam na nią z sercem trwożnie bijącym i wi-
działam jak z za okna przeciskał się bladej promień
jesiennego słońca, zaigrał po jej koronkowym czepcu
i jak parę ptasząt przyleciało z ogrodu i zatrzepota-
ło koło szyb skrzydełkami tuż przed jej wzrokiem.
I pytałam niespokojną myślą, czy promień ten nie
przyniósł z nieba mej babce natchnienia dobrego,
czy widok ptasząt kochających się a swobodnych, nie
teknął w jej serce litości dla istot nad którymi cią-
żyć chciała żelazną ręką swą despotyczną woli?

Zwróciła się, podeszła do nas i zmienionym tro-
chę głosem mówić zaczęła:

— Każdy człowiek ma w sobie dwie władze, któ-

re kierują i rządzą jego postępowaniem, jedną z nich
uczucia, drugą zasady. Są tacy którzy bezwarunko-
wo poddają się pierwszej i uginają się pod każ-
dym wrażeniem jak wiotka trzcina: ja do takich
nie należę. Jestem kobietą zasad i stawiam je
wyż nad wszelkie uczucia. Jakże zaś są te zasady
którym podlegać winno wszystko we mnie i koło
mnie, zapewne wiecie, ale gdy teraz chwila po temu,
wypowiem je wam raz jeszcze. Słuchajcie mnie uważ-
nie.

Ton jej głosu był znacznie łagodniejszym niż
zwykle i mimowoli jej zapewne dźwięczały w nim
te uczucia, które przeciwstawiła zasadom. Kto
wie, może tryumf odniosła?

Słuchałyśmy z natężeniem, babka mówiła dalej.

— Rodzinne imię nasze od kilku wieków zdobyło
sobie miejsce zaszczytne na kartach dziejów krajo-
wych. Dziadowie i pradziadowie nasi byli panami,
potęgą i bogactwem dorównywanymi nawet kró-
lom; babki i prababki chodziły w złotogłowiach
i dumne a czyste jak iza, na wzór. Westalek
o hardziej cnocie strzegły domowego ogniska. Ni-
gdy żadna plama nie powstała na czci rodu naszego,
nigdy nie dotknęło go ubóstwo: jak djament czystej
wody jaśniał on nieskazitelnie przez wiele pokoleń,
i nie zaćmił się ni razu przymieszką choćby jednej
kropli krwi mniej szlachetnej.

Ostatnim męzkim potomkiem rodu tego był mój
ojciec.

Cnotą i dumą dorównywał on wielkim przodkom
swoim, ale bogactwo rodowe rozwinęło się wśród burz,
jakie za żywota jego wstrząsały światem. Gdy
umierał, przy łożu jego śmiertelnym stanęły trzy
córk. Jam z nich była najstarszą. Konającami
usty opowiedział mi raz jeszcze historję naszego po-
chodzenia i rozkazał, abym stanęła na straży sióstr
młodszych i poświęciła wszystko dla przywróceniażeń-
skim chociaż potomkom, jego dawniej rodowej świet-
ności. Pojmowałam go i przejęłam się jego myślą. Wy-
rzuciłam z serca i głowy wszelkie romansowe mrzon-
ki o osobistych uczuciach i sympatiach, a zostałam żo-
ną człowieka, którego bogactwo dawało mi możność
spełnienia posłannictwa złożonego na mnie przez
ojca. Stałam się opiekunką sióstr moich.

Jedną z nich, matką Matyldy poszła wskazana
przeze mnie drogą. Bardzo młodo poślubiła małżon-
ka w późnym wieku ale bogatego i o świetnym imie-
niu: druga Ludgarda nie mogła rozstać się ze zbyt
przesadzonem wyobrażeniem o miłości i szczęściu,
odrzucała tego kogo ja przedstawiałam jej na mał-
żonka i nigdy za męża nie poszła, bo wołałam aby ca-
łe życie pozostała przy mnie i nosiła miano stariej
panny, niżliby zniżyła się do małżeństwa niezgodne-
go z honorem familji. Owdowiłam wcześniej i o-
dziedziczyłam zapisany mi przez męża majątek. Młó-
da jeszcze wyrzekłam się myśli ponowienia małżeń-
skich ślubów, odrzuciłam od siebie światowe uciechy
w których strwoniłbym mogła posiadane mienie,
w wieku w którym inne kobiety oddają się najżywiej
upojeniu uczuć i szalowi zabaw, włożyłam czarną su-
knję i czepiec wdowieński a z majątkiem posiadanym
i zdobytą przezeń władzą, stanęłam na straży inte-
resów familji. Opiekę mą i wpływy rozciągnęłam
na dalsze nawet rodu gałęzie. Podnosiłam tych, któ-
rzy upadali na funduszu, wychowywałam sieroty
w których wspólna nam krew płynęła, żadne mał-
żeństwo nie dokonało się bez mojej wiedzy, żaden
młodzieniec nie wyszedł w świat bez moich wskazó-
wek, nikt nie obrał sobie drogi, którą miał postępo-
wać bez mego zezwolenia.

Wpływ ten przemożny nad całą familją moją zdo-
byłam wielkim majątkiem i nieugiętą w postanowie-
niach wolą, i jedna tylko znalazła się osoba, która
nie potrzebowała czerpać z mego funduszu i sprze-

ciwiła się mej woli. Była nią Matylda. Matka jej
umarła młodo z suchoty, wraz za nią poszedł do gro-
bu podeszły w wieku małżonek.

Matylda mając lat siedmnaście była bogatą wład-
czynią rodzicielskiego majątku, rozkochoła się dziw-
nym trafem w zabłąkanym wśród nas człowieku z in-
nego świata, i nie zważając na mój opór została jego
żoną. Kilka lat widzieć ją nie chciałam, ale potem
jednym może w życiu mojem wypadkiem, uczucie
przemogło zasadę, przebaczyłam córce wcześniej
zmarłej siostry mojej. Przebaczyłam, ale postano-
wiłam, że dziecko jej pójdzie taką drogą, jaką ja mu
wskażę. Wacława miała zaledwie lat dziesięć, gdy
już w milczeniu szukałam dla niej męża. Nie szło
mi w wyborze jego o majątek ale o imię, któreby
zmaszało gminne wpłątane w ród nasz nazwisko.
Córka powinna była wynagrodzić złe, które rodzinie
wyrządziła jej matka. Znalazłam człowieka jakiego
pragnęłam i przeznaczyłam go na męża Wacławie.
W małżeństwie tem widziałam dwojaką korzyść.
Nietylko zmyywałam przez nie smutną pamięć
związków Matyldy, ale jeszcze z ruiny majątkowej
dźwigałam inny niemniej świetny a wielorako z na-
szym skolligowany ród p. Agenora. Drugi ten
wzgląd nie miał w umyśle moim grać rolę, bo w
dzisiejszych czasach szalonych przewrotów społecz-
nych i zbrodniczych, o jakiejś mniemaniej równości
pojęć, stare i wielkie rody winny stanowić brater-
stwo, którego każdy członek gotówby był zawsze
drugiemu podać dłoń do podźwignienia gotową.
Urządziłam wszystko w ten sposób, aby małżeństwo
to jak najłatwiej przyjsć mogło do skutku, i oto dziś
jestem u kresu moich pragnień i starań. Wszystko
co powiedziałyście mi przed chwilą, mogło mi dać
nieco do myślenia, ale zachwiać mojem postanowie-
niem nie mogło. Rozalja jest nieszczęśliwą dziew-
czyną, lecz jeśli będzie rozumną i uległą zaopatrzę
jej przyszłość jak będę mogła najlepiej; Wacława
ucierpi może trochę, lecz jestem pewna, że gdy
dojrzeje przejmie się temi samymi zasadami, jakie
mną rządzą i cieszyć się będzie posiadaniem męża,
który przy pięknem nazwisku, łączy wszystkie przy-
mioty światowego i dobrze urodzonego człowieka.
Zresztą, tam gdzie idzie o interes familji, jednostka
z wymaganiami swemi ustąpić powinna. Przed wiel-
kością zasady niknie także czułośćkowa mrzonka, jak
owa miłość Rozalji i p. Agenora w którą zresztą
mimo wszystkiego mało wierzę. Tak tedy, ostatecz-
nie i stanowczo wam wypowiadam, że postanowienie
moje nie uległo żadnym zmianom, że życzę sobie
aby Wacława została żoną pana Agenora W., a Ro-
zalja przyjęła także z mojej ręki męża, którego jej
przeznaczyć zechcę. Mam nadzieję, że teraz gdy
uczyniłam aż tyle ustępstwa, aby tłómaczyć się
przed wami z pobudek mego postępowania, zechce-
cie bez dalszych już próżnych frazesów i scen me-
lodramatycznych, zastosować się do mej woli.

Umilkła. W ciągu mówienia głos jej zrazu spo-
kójny i złagodzony nabierał stopniowo coraz tward-
szych dźwięków, a przy końcu brzmiał surowym
i zimniejszym niż kiedy despotyzmem.

Gdy skończyła stałyśmy wszystkie przed nią jak
skamieniałe. Rozalja tylko upadła po chwili na ka-
napę sił pozbawiona prawie.

I znowu była chwila ciężkiego milczenia. Mrocz-
ny salon teraz już strasznie wydawał mi się ciem-
nym, a wśród ciszy posępnie dźwięczał metaliczny
tentent zegara.

(d. c. n.)

MAŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TLÓMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Pierwszy, drugi i trzeci i chórzysci ozwali się jednogłośnie:

- Takie twoje zdanie?
- Takie i dlatego wam powiadam, że przeciw sir Patrikowi ani z jednym nie wystąpię słowem.
- Dla czego? zapytali znowu wszyscy razem.
- Bo sir Patrik ma słuszość.

Odpowiedź ta sprawiła ogólne osłupienie całej deputacji z ogrodu przybyłej. Godfryd powstał i udał się wprost do sir Patrika, a za nim pociągnęli jego satelici.

— Masz sir słuszość! odezwał się Godfryd przystępując do starego szlachcica, i słusznie powątpiewasz, czyli który z nas umie czytać, pisać i rachować, bo to zajęcia którym tak mało się oddajemy, że egzamin z nich dla niejednego z nas byłby może bardzo trudnym. Wyrzekłeś zatem sprawiedliwie twierdząc, że nie rozumiesz, dla czego ja, albo tamci za mną, zaczawszy od gonitw i hecy, nie kończą występami lub czem gorszem jeszcze. Ale kto wie, co stać się może jeszcze czy ze mną, czyli też z nimi. Potem odwrócił się nagle do deputacji, która stała jakby piorunem rażona i dodał: chcieliście dowiedzieć się jakie moje zdanie, otóż je macie.

W wypowiedzeniu słów tych była nie tylko czelność, ale zarazem i pewne cyniczne zadowolenie, co naturalnie oburzyło wszystkich obecnych nie wyłączając sir Patrika. Milczeli jednak wszyscy gdy wszedł niespodziewanie do biblioteki gość szósty, niemłody już mężczyzna, przybyły dnia poprzedniego z Londynu, gdzie był znanym i cenionym jako najpierwszy medyk i chirurg zarazem.

— Jeżeli jaka sporna rozprawa odezwał się wchodzący, to może przeszkadzam?

— Nie panie, to nie rozprawa i nie spór tymbar-dziej odrzekł Godfryd, bośmy się już wszyscy na jedno zgodzili.

— Za pozwoleniem! ozwał się sir Patrik do Godfryda z niezwykłą sobie powagą, bynajmniej nie zgadzamy się wszyscy. Nie podzielać wyrażenia pańskich, które co dopiero wypowiedziałeś. Nie moja zatem wina, gdy rozprawa dalsza odbędzie się w obec innych jeszcze nowych słuchaczy — i spojrzął się na Arnolda i Biankę.

Doktor usiadł na stronie w półcieniu i badał z zajęciem wyraz twarzy Godfryda, siedzącego pod światło przy oknie.

Ten ostatni w niecierpliwości poradzenia się sir Patrika, stanął umyślnie po jego stronie, a pragnąc co rychlej obecnych pozbyć się przyjaciół, rubaszością bretońską popsuł wszystko mimowoli. Nowe rozprawy podsycone przez numer pierwszy, drugi trzeci i dwóch chórzystów, jako też rozumne dowodzenia sir Patrika w obronie własnej i zasad swoich, posypały się ze stron obu z wielkiem ożywieniem. Sam jednakże Godfryd zupełnie milczący, siedział obojętny ze wzrokiem zamglonymi w niezwykłym zamysłowaniu pogrążony. Rozprawy od których uwalniamy czytelnika, toczyły się coraz hałaśliwiej, zacieję i stawały się niemal już osobistymi. Gdy na-

gle doktor który bacznie śledził wszystko, stanął pomiędzy Godfrydem a Sir Patrikiem z oświadczeniem, że pragnie panu Delamayn udzielić pewną przestrożę.

— Jak to? ze zdziwieniem zapytał Godfryd — czy pan chciałbyś sekcją na mnie odbyć?

— Chcę tylko przestrzedz, abyś był baczny na siebie i nie unosił się nigdy namiętnością żadną. Innym nie szkodziłoby to wcale, dla pana może to być bardzo niebezpiecznem.

— Co pan gadasz?

— Że stan zdrowia pańskiego nie jest tak pomyslnym jak sądzisz. Uważałem na pana przez czas prowadzonej tu rozmowy i zebrałem niemyślnie tego wskazówki.

Godfryd zwrócił się ku wielbicielom swoim z głośnym, szyderczym śmiechem, któremu tamci z całego gardła zawtorowali. Arnold i Bianka uśmiechnęli się także, a sir Patrik spojrzął z niedowierzaniem, bo przed niemi stał prawdziwy Herkules który jednym uderzeniem pięści mógł zabić człowieka, który śmiał twierdzić, że zdrowie jego nie jest w dobrym stanie.

— I cóż mi brakuje? zapytał Godfryd szyderczo.

— Przestrzegłem pana, bo uważałem to za mój obowiązek. Poczyłem 'sposprzeżenia jak się już wyraziłem, prawie nigdy nie zawodzące.

— I jakież to sposprzeżenia, czy wolno zapytać?

— Zebrałem je z całego postępowania pańskiego. To co wyrzekł sir Patrik, dotyczyło się tak pana jak przyjaciół jego, a jednak siedziałeś w milczeniu zostawiając innym obronę całą. Czy nie wiedziałeś co odpowiedzieć na zarzuty głównie do ciebie stosowane?

— Owszem, miałem gotową doskonałą odpowiedź.

— To i dla czegoż milczałeś?

— Tak sobie.

— Nie panie Delamayn, w podobnych wypadkach grymas nie załatwia sprawy. Ale może i pojmo-wałeś coby należało odpowiedzieć, ale to czucie i pojęcie zamknąć w słowa, trud to był dla ciebie za wielki. Wolałeś więc zostawić go drugim jak siebie obarczać pracą nad siły.

Godfryd spojrzął zdziwiony na doktora i zapytał z lekkim odcieniem szyderstwa:

— Jakże pan wiedzieć możesz co się znajduje w mej myśli?

— Należy to do tajemnic naszej nauki, a ta zaręczam, że w podobnych wypadkach nigdy nie myli. Poczem doktor zwrócił się do sir Patrika i począł mu wykladać szkodliwość przesady w zbytznem wykształceniu sił fizycznych, tak pod względem umysłowym jako i ze względu na same siły fizyczne.

— Mam młodego pacjenta — mówił dalej — istny model na Samsona a ma lat dopiero dwadzieścia. Przed niedawnym czasem wśród zebranej rodziny i przyjaciół zemdlął nagle. Przywołano mnie, badałem przyczynę tej nadszodziejowej słabości i przekonałem się, że ją spowodowały za nadto rozwinięte siły fizyczne. Biedny żyje i może żyć długo będzie, ale już nigdy zdrowia nie odzyska. Dziś trzeba go pielegnować jak ośmdziesięcio-letniego starca.

— Jak on się nazywa? zapytali jednogłośnie wszyscy.

— Nie mam zwyczaju wymieniać nazwisk moich pacjentów, ale jeżeli chcecie ażeby panom stawił przykład człowieka złamanego przez ćwiczenia atletyczne, to zadowolę was mogę.

— Któż to jest?

— Znać go dobrze.

— Czy zostaje w ręku lekarzy?

— Nie jeszcze.

— Gdzież on jest?

— Tutaj! — i wśród ciszy ogólnej, doktor wskazał Godfryda.

Zdumienie, niemal osłupienie nastąpiło ogólne. Po chwili dopiero powstały zarzuty powątpiewania i niewiary w twierdzenie doktora.

— I pan wierzysz w to coś powiedział? zapytał Godfryd stawając przed nim.

— Najzupełniej.

— Wskazałeś mnie....

— Wybacz, źle może uczyniłem żem na pana powszechną zwrócił uwagę. Masz słuszość zupełną czynienia mi pod tym względem wyrzutów, mimo tego zdania mego co do zdrowia pańskiego, nie zmienia to w niczem.

— Utrzymujesz pan, że jestem złamany?

— Tak twierdzę.

— Obyś był młodszym o lat dwadzieścia, a dowiodłbym ci natychmiast jak się grubo omyliłeś.

— A to jakim sposobem?

— Wezwałem pana na trawnik a na nim w dwóch sekundach przekonałbym, że nie jestem złamany.

Lady Lundie spojrziała na sir Patrika znacząco, a ten pojmując jej obawę zaraz odezwał się do Godfryda:

— Panie Delamayn, znajdujesz się jako szlachciec obywatel w domu kobiety, dla której poszanowanie jest prawem wszystkich bez wyjątku obowiązującym. Sądzę zatem....

— Za poważnie, przerwał doktor, zapatrujesz się na przedstawienie pana Delamayn. Był to tylko żart z jego strony i nie więcej, wprawdzie groźny, ale i piorun choć taki a nie zawsze zabija. Wreszcie praktyczny dowód na trawniku przewagi pana Delamayn nademną, sporu pomiędzy nami nie rozstrzygnie, choćby go zasiał prochem wszystkich moich kości. Nie twierdzą, aby te ciągłe ćwiczenia gimnastyczne, miały ujemnie działać na rozwój sił fizycznych, ale utrzymuję stanowczo, że dzieje się to z ujmą siły co rządzi pięścią, która na jej rozkaz podnosi się by miażdżyć lub druzgotać, albo też schylać się by podnosić i ratować.

W szczegóły nie wchodzę a przepraszam raz jeszcze za uwagi moje i żem je zrobił publicznie. Przestrożę jednak moją zechciej pan zapamiętać.

— Jeszcze słówko doktorze, zawołał Godfryd trzymając medykę. Za dni dziesięć mam odbyć wyścig pieszy w Fulham. Czy pan sądzisz, że nie dobiegnę?

— Przeciwnie, myślę że dobiegniesz, wygrasz, ale potem już więcej nie będziesz się ścigał.

— Nigdy więcej?

— Nigdy.

— Przyszłej wiosny będą sławne uniwersyteckie wyścigi, jestem wezwany i przyrzekłem, że ścigać się będę. Zrobmy zakład doktorze, i dobyt betting-book z kieszeni.

— Nie robię nigdy zakładów żadnych, odrzekł doktor i udał się na drugi koniec sali.

— Panowie! przybliżcie się, zawołał Godfryd, unosząc rękę z książeczką: któż stawia po stronie doktora, a kto za mną trzyma?

Sir Patrik powstał chmurny i połączył się z doktorem. Pierwszy, drugi i trzeci pokręcili głowami na wezwanie znakomitego przyjaciela, i wyrzekli: Gammon! co znaczyło że to za żart uważają.

— Smith! Jones! krzyknął Godfryd na dwóch chórzystów, którzy zbliżyli się zaraz, ale do zakładu nie przystąpili także.

— Jesteście piekielnymi trutniami, kiedy nie macie sto funtów na zakład wrzasnął rozniewany Godfryd.

— Godfrydzie! przerwał Arnold — przestań wstydz się.....

— Dla czego? Dziwak jesteś! — przerwał Godfryd i zwracając się do towarzyszy mówił dalej: — panowie! czy nikt nie przystąpi do zakładu?

— Przez wzgląd na ciebie, ażebyś umilkł, ja stawiam sto funtów, zawołał Arnold.

— Sto funtów za doktorem! Zakład stoi, krzyknął Godfryd zadowolony.

Zapisał zakład w *betting-book* — i odezwał się pojednawczo do chórzystów:

— Nie gniewajcie się starzy gracze, ty zacny przedstawicielu dawniej arystokracji Smithes, ty Jones potomku starożytnego rodu, którego krew w czystości odwiecznej przechowywana, płynie dziś w twoich żyłach na zaszczyt stariej naszej Anglii.

Obadwaj chorzyści byli oczarowani tak pochleb-
nem wyniesieniem ich po nad całe towarzystwo. Tymczasem Arnold czynił sobie wyrzuty nie dla tego że zrobił zakład, bo i któżby się tego w Anglii wstydził? ale że stanął po stronie doktora jak gdyby liczył na niemoc Godfryda.

— Jestem święcie przekonany że doktor się myli, rzekł do Godfryda, nie odwołuję jednak zakładu ale chcieliby wierzyć, że czynię to jedynie dla tego by tobie dogodzić.

— Zakład zakładem, a wszystkie uczucia wypycham za drzwi jak natręta którego się ręką lokaja zrzuca ze schodów, zawołał Godfryd, a potem odcia-gając Arnolda na stronę, zapytał go:

— Czy sądzisz że sobie naraził starego prze-korę?

— Sir Patrika?

— Tak — Jeszcze z nim o interesie nie mówiłem, ale może on teraz niechętnym będzie dla mnie po tak przykręj rozprawie?

— Więc go przeprosz. Sir Patrik jest drażli-wym trochę, lecz sprawiedliwym i zacnym bardzo człowiekiem. Powiedz, że mu w niczem nie chcia-łeś ubliżyć.

— Dobrze.

Gdy przedstawiciel nowej Anglii stanął przed nim w osobie Godfryda Delamayn, sir Patrik czytał sta-re weneckie wydania Dekameronu z wielkiem nie-zmiernie zajęciem.

— Przychodzę przeprosić pana, odezwał Godfryd co było to było.... nie chciałem ubliżyć. Więc wybacz sir i zapomnij!

Jakkolwiek słowa te były wypowiedziane nieco gburowato, zawsze jednak stanowiły przeproszenie.

— Słówka więcej nie potrzeba, panie Delamayn! — odrzekł uprzejmie starzec. Wybacz mi także sir, jeżeli jakie przyostre wymówił słowo i zapomnij-my o wszystkim.

Sądząc że rzecz skończona, Sir Patrik zwrócił się znowu do Dekameronu. Godfryd jednakże nie ruszył się z miejsca a ku wielkiemu zdziwieniu sta-rego szlachcica, pochylił się i poszepnął mu z cicha:

— Chciałbym z panem na osobności pomówić.

Przepraszam, sir, ale nie zrozumiał.

— Chciałbym z panem na osobności pomówić powtórzył Godfryd z jedną tajemniczością.

Sir Patrik odłożył *Dekameron*, pokłonił się w milczeniu i pomyślał w duszy, czegoż on może żą-dać odemnie? Otóż i przyczyna dla której mnie przeprosił!

— Chciałbym pomówić w interesie mego przyja-ciela — odezwał się Godfryd przyciszonym głosem, zostaje on w niemiłych obrotach, więc pragnę pora-dzić się pana ale w największym sekrecie. Może przejdziemy do ogrodu?

— Zmęczyłem się już dzisiaj chodzeniem — od-rzekł sir Patrik pokazując swą nogę kulawą.

W ścianie naprzeciw okien było nisz kilka zacią-gniętych draperją.

— Możeby tam, wskazał Godfryd na ścianę.

— Panie Delamayn wybacz, odezwał się sir Pa-trik z niechęcią, ale czy przypadkiem nie mylisz się co do mojej osoby?

— Pan jesteś prawnikiem szkockim?

— Tak.

— I znasz dokładnie prawa małżeńskie w Szkocji?

— Wyraz twarzy sir Patrika zmienił się nagle i zapytał:

— Czy pan w tym przedmiocie potrzebujesz rady mojej?

— Tak jest, w imieniu mego przyjaciela.

— Więc o cóż tu idzie?

— Jest on w kłopotach z powodu kobiety.... tutaj w Szkocji zamieszkałej a chciałby wiedzieć, czy jest ożenionym lub nie.

— Jestem na usługi pana, odrzekł sir Patrik dziwnie wzruszony i postąpił ku niszy najbli-ższej. Żywy umysł starego prawnika połączył odrazu opowiadanie Bianki z wezwaniem Godfryda, i różne z tego począł wyciągać domysły i wnioski. Tam nauczycielka Bianki, szepnął sobie w myśli, tu przyjaciel Godfryda? Co to wszystko znaczy? Ale dziwniejsze już nieraz działy się rzeczy!

Dwaj zatem nowi towarzysze usiedli w niszy, przed małym stolikiem. Arnold wyszedł z gronem gości do ogrodu, na drugim zatem końcu sali został tylko doktor przeglądający ryciny i lady Lundie z Bianką, zajęte rozpisywaniem biletów zapraszających na obiad.

XX.

— No mój panie, o cóż tu idzie? — zapytał sir Patrik.

— O rzecz niezmiernie błahą — odrzekł God-fryd — oto chciałbym się dowiedzieć, czy przyjaciel mój jest ożenionym, lub nie?

— Czy chciał się ożenić?

— Nie.

— Więc był nieżonatym i ona niezamężną, a obo-je są w Szkocji?

— Tak.

— Opowiedz mi pan okoliczności wszelkie.

Godfryd zastanowił się, bo pragnąc coś opowie-dzieć, potrzeba zebrać myśli, a to była praca nad jego siły. Sir Patrik aż nadto to dobrze rozumiał; domyslał się nadto, że coś przed nim ukrywa, więc zamierzył być ostrożnym i zręcznym wypytaniem dojść prawdy. Kiedy Godfryd mówił, sir Patrik pilnie słuchał, ale wprędce opowiadający zaczął się plątać, gmatwać w wypadkach i nie mogąc wybrnąć z tego labiryntu nagle umilkł wzdychając ciężko. Sir Patrik spojrział na niego badawczo.

— Możebym ułatwił panu wyjaśnienie rzeczy, odezwał się po chwili — gdybym niektóre zadał py-tania?

— Zapewne, tak... ułatwiłoby to...

— Więc zaczynam. Czy możesz pan wymienić nazwiska stron głównie interesowanych?

— Nie,

— A miejsca gdzie się odbył dramat?

— Nie.

— To przynajmniej czas w którym się to działo nie wymaga tajemnicy?

— Działo się to... w tym roku.

— Czy przyjaciel pański i dama owa, podróżowa-li tego lata z sobą po Szkocji?

— Nie.

— Żyli tu z sobą?

— Nie.

— To i cóż tu robili?

— Spotkali się... w hotelu jednym.

— Któż zjawił się pierwszy?

— Ta pani.... Ale poczekaj pan odezwał się God-

fryd i wyjął kartkę z kieszeni, na której zapisał co mu Arnold powiedział, i podał ją sir Patrikowi. Otóż zrobiłem notatkę.

Sir Patrik przejrzał zapiski i trzymając kartkę przed sobą śledztwo dalsze prowadził.

— Zapytywał o nią, jako o żonę swoją, prze-czytał w notatce. A czy dama ta powiedziała także poprzednio, że jest zamężną?

— Powiedziała.

— Jak długo bawiła w hotelu, zanim ów jego-mość przybył?

— Godzinę może.

— Czyliż tam nazwisko wymieniła swoje?

— Nie wiem.

— A on?

— Wymienił.

— Powiedział przy obiedzie, czytał dalej Sir Pa-trik w obec gospodyni i posługacza: biorę te pokoje dla siebie i dla mojej żony i skłonił ją, że w tym sa-mym czasie, nazwała go także swoim mężem. Czy-liż które z nich powiedziało to żartem tylko, panie Delamayn?

— Nie, bo sądzę że do żartów nie mieli ani hu-moru ani czasu.

— To zapewne udawali tylko, że mówią prawdę, dla złudzenia gospodyni i posługacza?

— Tak rzeczywiście było.

— Potem przez noc całą tam pozostał, czytał znowu sir Patrik dalej z notatki, to jest pozostał się w pokojach, które wziął dla siebie i dla żony swojej?

— Tak jest.

— A cóż stało się nazajutrz.

— On odjechał mówiąc, że ma interes jakiś.

— Zostawiwszy damę jako żonę swoją w ho-telu?

— Tak.

— Czy tam powrócił?

— Nie.

— Długoż ta pani po odejście jego jeszcze tam bawiła?

— Hm... może dni kilka.

— I nie widział jej odtąd?

— Nie.

— Są oni Angliey, czyli też Szkoci?

— Angliey.

— Czy byli zamieszkałymi przez dni dwadzieścia w Szkocji, zanim zeszli się w hotelu?

Godfryd się zamyślił. Co dotyczyło się Anny wiedział, że lady Lundie przed partją croquet'u naj-mniej od trzech tygodni mieszkała już w Windygates. Co do Arnolda nie był tego pewnym i dopiero po chwili przypomniał sobie, że jadąc z nim od sta-eji kolei żelaznej na partją croquet'ową, Arnold coś wspominał o przedstawieniu teatralnym w Edym-burgu, na którym się znajdował przed trzema ty-godniami.

— Tylko jeszcze dwa zapytania — wymówił sir Patrik. Czyliżem dobrze zrozumiał, że dama opie-ra na powyższych okolicznościach prawa swoje, jako małżonka przyjaciela pańskiego?

— Tak jest.

— Czy państwo ci nie pisali do siebie listów? za-pytał sir Patrik.

— O ile wiem, nie.

— To już i skończyłem, panie Delamayn.

— I jakież jest zdanie pańskie?

— Zanim je wypowiem, muszę jeszcze lepiej stan rzeczy rozpoznać. Pan żadasz wiedzieć: czy przy-jaciel pański jest ożenionym według praw szkoc-kich?

— Tak.

— Dwoje ludzi wolnych może w Szkocji zawrzeć z sobą związek małżeński, pod jakimi bądź okolicz-nościami...

— Więc ona jest jego żoną! zawołał nagle Godfryd i mimo przebiegłości całej i panowania nad sobą, oczy jego dziwnie przy tych zajaśniały wyrazach, a głos lubo nie zdradzał uniesienia niezwyklej radości, to zawsze znać było że w wybuchu jęj tylko się powstrzymywał. Nie uszło to baczności sir Patrika i odrazu stary szlachcic poznał, że Godfryd niemal gwałtem życzy sobie ażeby ów przyjaciel był rzeczywiście i prawomocnie ożenionym. Pragnął więc teraz tylko dowiedzieć się, czyli ową damą była Anna Silvester, lub nie? Rzecz zatem w ten sposób prowadził dalej.

— Nie wyciągaj pan jednakże z tego com powiedział, zbyt skorych wniosków. Stanowczo dotąd nie wyrzekłem zdania, a to jeszcze nie wiemy jak wypadnie.

Godfryd zpoehmurniał nagle, co znowu nie uszło bynajmniej baczności sir Patrika.

— Prawo szkockie co do małżeństw nieregularnych — ciągnął dalej stary prawnik, staje się obrazą obyczajów i rozsądku. Nie jest to sąd mój li tylko, ale i najpierwszych powag prawnych. Prawo małżeńskie nie oparte na pewnych i niewzruszonych podstawach, pozostanie zawsze klęską narodową.

— Dobrze to wszystko, ale sądzę że pan możesz przecie powiedzieć, co sądzisz o małżeństwie przyjaciela mojego? przerwał Godfryd natrętnie z wielkim sir Patrika zgorszeniem.

— Zapewne, twierdząc więc że to nie było małżeństwo stanowczo zawarte, ale raczej ułatwienie tylko mającego nastąpić ślubu i nie więcej.

Określenie to nie było dość przystępnem dla leniwego i tępego umysłu Godfryda. Zawołał też zdziwiony a gniewny:

— Więc ów nie jest ożeniony? W obec jednak świadków nazwali się mąż i żona!

— Niepotrzebni są świadkowie przy zaślubinach w Szkocji, i przydadzą się wtedy tylko, gdy w razie zaprzeczeń dowieść potrzeba, że małżeństwo zawartem zostało.

— Czy gospodini i posługacz stwierdzić mogą że się pożenili? zapytał Godfryd.

— Zapewne. Przyjaciel pański nazwał damę żoną, a ona go mężem. Nazajutrz przyjaciel pański odjechał, a dama pozostała się w hotelu jako żona jego, co wiarogodni świadkowie potwierdzić mogą. Wracam wszelako do wyrzeczonego już zdania, że tu było jedynie widoczne tylko utorowanie drogi do zawarcia małżeństwa.

— A więc panie — odezwał się Godfryd i uderzył silną pięścią w stół — przypuśćmy, że przyjaciel mój ma inną dla siebie damę na oku

— To i cóż?

— Czy pan radziłbyś mu, ażeby się pod takimi okolicznościami z tą drugą ożenił?

— Nigdy.

Godfryd uradowany zerwał się z siedzenia i rzekłszy:

— Dość tego dla mnie i dla przyjaciela mojego! Dziękuję panu za objaśnienie i wybiegł do ogrodu.

— Nie wiem kto jest przyjacielem twoim, pomyślał sir Patrik patrząc za odchodzącym ale udział jaki bierzesz w tem małżeństwie nie jest ani uczciwym, ni też z życzliwości podjętym.

Wychodzącego Godfryda z biblioteki zatrzymał jeden ze służby.

— Przepraszam, sir — ale groom brata pańskiego czeka na odpowiedź.

— Ach ten, co to list przywiózł do mnie?

— Ma rozkaz by co rychléj powracał, więc nie może czekać dłużej.

— Napiszę zaraz.

Zawrócił do biblioteki i przy najbliższym usiadł stoliku by list ów do brata napisać. W przódę jednakże jeszcze przejrzał pismo Juljusza, i zatrzymał się dłużej przy wyrazach: „Przybywaj jutro byśmy pospółu mistress Glenarm powitać mogli”. Było to bowiem żądanie stanowczéj wymagające odpowiedzi. Gdyby pozostał dłużej po rozmowie z siostrą Bianką z Arnoldem, byłby zagnonym do pełni obowiązków swojego względem Anny. Jeżeli zaś powróci do brata, pozostanie mu jedynie porzucić Annę, jako zaślubioną Arnoldowi.

— Tu idzie przede wszystkim o mistress Glenarm! poszepnął. Wyjął arkuszyk welinowy z teki, i napisał do Juljusza:

„Kochany bracie! Czekaj mnie jutro.

G. D.”

Lokaj stał poza nim, kiedy Godfryd list mu oddawał Arnold stanął przy nim i zapytał:

— Czy wszystko należycie załatwiłeś?

— Tak — odrzekł — wszystko załatwione jak należy.

Arnolda zdziwiła ta krótka odpowiedź.

— Czy sir Patrik powiedział ci nieprzyjemność jaką? zapytał.

— Powiedział mi to tylko, co posłyszeć chciałem.

— Więc nie masz trudności żadnych?

— Żadnych.

— Nie potrzebuję lękać się o Biankę?

— Nie będzie już żądała od ciebie, byś poszedł do Craig Fernie — odrzekł z pewną przesadą, włożył kapelusz na głowę i wyszedł.

Przyjaciele jego bawiący się na trawniku zaprosili go do swego towarzystwa, ale Godfryd nie zatrzymując się poszedł dalej, wyjął ulubioną fajeczkę i już miał wejść do różanego ogródka, gdy nagle zatrzymał się czując zapewne konieczną potrzebą samotności. Z głową spuszczoną a czołem pochmurzonym skręcił w pierwszy chodnik i doszedł do warzywnego ogrodu. „Otóż tutaj będę bezpiecznym!” pomyślał.

Na środku stał orzech wielki, pod nim była ławeczka, a w koło mały trawnik. Obejrzał się ostrożnie i usiadł.

— Żeby się to już co rychléj skończyło! wyrzekł sam do siebie potem wsparł łokcie na kolanach, i puszczać kłęby dymu zatonał w dumaniu. Niepokój jednak wewnętrzny nie dał mu pożądanego wytchnienia, porwał się więc na równe nogi i zaczął biegać w koło drzewa jak dzikie zwierzę w klatce zamkniętej. Czyżby czynił sobie wyrzuty, że oddanego sobie przyjaciela w taką popchnął niedolę? Bynajmniej! Niecierpliwił się tylko, że załatwienie tak ważnej dla niego sprawy, tak się długo przeciąga. Każdy wyrzut sumienia bywa wynikiem dwóch wrodzonych nam uczuć: jednym jest poszanowanie samego siebie, drugim poszanowanie bliźnich. Obadwa zaś podnoszą duszę do miłości Boga i miłości ludzi. A wtedy winowajca zdolny jest zawołać ze skrucą: Zawiniłem, i żałuję. Nie jednak podobnego nie maciło spokoju Godfryda Delamayn. Mniej jeszcze obchodziła go smutna dola Anny powiedział bowiem sobie: pozbyłem się jęj, jest zabezpieczoną i nie stanie mi więcej w drodze.

— Żądam wolności dla siebie — szepnął niecierpliwie, bym mógł ożenić się z tamtą, i pojechać na wysegi piesze. Nie im złego nie zrobiłem, oni mi raczej zawadzają. Potrzeba pozbyć się tego ciężaru i to dziś jeszcze! Ale jak tego dopełnić?

Nie mógł objaśnić Arnolda, nie mógł wywołać przykréj sceny pomiędzy nim a Bianką, bo to mogłoby mu w oczach mistress Glenarm zaszkodzić. Trzeba było zatem wszystko wyznać Annie, samotnej, opuszczonej bez przyjaciół i opieki. Ale jak to

zrobić — i to dziś jeszcze? Czyli wprost pójść do niej i nazwać ją mistress Arnold Brinkworth? Nie! bo pamiętał aż nadto dobrze, co mu przy ostatnim widzeniu w Windygates powiedziała. Napisać by-łoby lepiej, gdyż potem choćby się zjawiła w Windygates u brata jego lub nawet u ojca, — to wszędzie powita ją jako żonę Arnolda Brinkwortha.

— Tak będzie najlepšie! — „powtórzył, obiegając orzech w koło bez wytchnienia.” Napiszę jęj: dziwi pania żem nie przybył, ale zawiniła sama. Wiem co zaszło pomiędzy wami w karczmie. Zasięgnąłem rady prawnika i dowiedziałem się, że pani jesteś żoną Arnolda Brinkworth. Życzę szczęścia i żegnania na zawsze!” A na liście położę napis: mistress Arnold Brinkworth. Z listem tym postanowił wysłać umyślnego posłańca późno wieczorem i polecił mu, ażeby po oddaniu go zaraz powracał, sam zaś nazajutrz raniutko miał czmychnąć do brata.

Ale nowa nastęrczała się trudność. Anna w karczmie znana była jako mistress Silvester, skoro więc na liście położony zostanie adres, mistress Arnold Brinkworth — to mogłaby go wcale nie odebrać choćby odebrała, to z pewnością nie czułaaby się w prawie do odpiecztowania go i odczytania. Ktoś inny byłby zrozumiał, że to co miał jęj donieść, nie wymagało takiego adresu, ale Godfryd lękał się ażeby pisząc do niej jako do mistress Silvester, nie uchybił mimowoli względem owego prawa małżeńskiego i nie wpadł w jakie nieznane prawne wykrety. Główny przeto niepokojem popuścił myślom wodze, a to oczywiście, powiodły go zaraz ku wyseigowi pieszemu! Pragnąc czas aż do dnia naznaczonego użyć na odpowiednie ćwiczenia, postanowił bieg pierwszy odbyć do domu brata, a drugi w powrocie do Londynu. Uprzytomnił sobie niepospolitego szybkobiega z którym wyścig miał odbyć: wspomnił na różne zakłady..... a potem pomyślał o mistress Glenarm. „A gdyby mnie nie chciała? poszepnął sobie” — to mniejsza o to, będzie inna! Wszystkie one jednak! Po téj pocieszającej uwadze przystanął i gdy dobył kapciuch by sobie nową nałożyć fajeczkę, spostrzegł nagle że coś ruszało się po za gruszkowymi drzewami. Spojrzał — i zobaczył kobietę zrywającą coś po ziemi. Przy boku jęj wisiała tabliczka szyfrowa do pisania, jak u dziewcząt powracających ze szkoły.

— A co tu moja kochana porabiasz? zapytał.

Kobieta wysunęła się, zwolna: była to Estera Dethridge znana nam niemowa kucharka przy dworze lady Lundie. Błada o zgnękanem licu podniosła ku niemu oczy, posagowo spokojna jak zawsze Godfryd ze wstrętem cofnął się bo ani przypuszczał że taką twarz zobaczy.

— Cóż znaczy ta tabliczka? zapytał, nie wiedząc jak dalej prowadzić rozmowę.

Kobieta podniosła rękę, przyłożyła palec do ust i pokręciła głową.

— Czyś niema? zapytał.

Kobieta skinęła głową.

— Któż jesteś?

Napisała na tabliczce: Jestem kucharką.

— Czy urodziłaś się niema?

Potrząsnęła głową ze znakiem przeczenia.

— Z jakiegoż zaniemowiłaś przyczyny?

Napisała: „Uderzono mnie.”

— Któż cię uderzył?

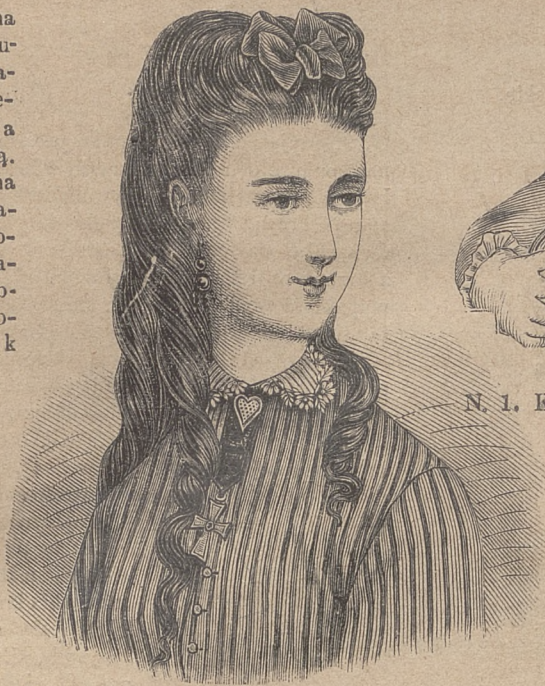
Zapytana potrząsnęła znowu głową.

(d. c. a.)

Dalszy ciąg opisu dodatku arkusowego,
dołączonego do N. 9. Tyg. Mód.

N. 2. Strojna suknia dla starszej osoby.

Ciężka jedwabna suknia nie potrzebuje żadnego przybrania na spódnicy, jednakże powinna być powłóczystą. Stanik wysoki na plecach z kwadratowym wykresem z przodu, rękawy ma szerokie dołki bogatą koronką; ubiorek



N. 2. Uczesanie w loki (Przód)

z blondyny przybrany kwiatem i wstążką. Okrycie z cienkiego jedwabnego tiulu, albo cienkiej grenadyny w kształcie kwadratowej chustki ma brzegi obrębione, podwleczone wstążką i oszyte koronkowym wolantem 20 do 30 cent. szerokim.

N. 3. Szlak z koronki irlandzkiej Point-lacé, na falbany do rękawów, do sukien lub do przyborów kościelnych.

Szeroki szlak, przedstawiony pod N. 3. jest użyty jako przybranie rękawów do ślubnej sukni N. 1. Sposób roboty koronki irlandzkiej podawaliśmy już nieraz. Wskazujemy tylko, że przy użyciu takich plecionek koronkowych do spajania powinny być użyte bardzo cienkie nici. Koronka



N. 1. Kapelusz dla dziecka. Opis i krój na dodatku N. VII. Fig. 15—17.



N. 4. Kapturek kapeluszowy z aksamitu. Opis i krój na dodatku N. XVI. Fig. 47—50. Zobacz także ryc. 19 w N. 11 Tyg. Mód.

taka służyć może nie tylko jako przybranie rozmaitych części kobiecych ubrań, ale także do zakończenia kościelnych obrusów, kornży i tym podobnych przedmiotów.

N. 4. Tło robione w ramach.

Tło przedstawione pod N. 4 może być zastosowane przy robocie okryć, szalików i kapturków na głowę.

N. 5. Ścieg szydełkowy.

Ponieważ ściegi szydełkowe ciągle są potrzebne do rozmaitych robótek, podajemy tło odrobione sposobem tunetańskim. W każ-



N. 3. Uczesanie w loki. (Tył).

dym rzędzie robionym ku ręce lewej, jedno oczko jest proste, a drugie zakręcone z wolnej nitki, oczka proste zajmują się za oczko zakręcone poprzedniego rzędu, jak to wskazuje strzałka na wzorze. Wracając do ręki prawej, każde z oczek przerobione jest łańcuszkiem powietrznym. Oczka zakręcone odrabiają się włożywszy szydełko pod nitkę roboczą, przewlekając pod nią zajętą szydełkiem pętelkę.

N. 6. Pelerynka do wieczorowego ubrania.

Na pelerynkę bardzo strojną, będącą w modzie do wieczorowej sukni, najwięcej odpowiednim jest biały atlas z obszytym z białych lisów. Model z cienkiego kaszmiru, pikowany białym kordonkiem



5. Ubranie małej dziewczynki.

N. 6. Suknia z karoczką garnirowana falbaną i plisami. Krój stanika N. X fig. 21—24. Zobacz także ryc. 30—32 w Tyg. Mód N. 11.

N. 7. Suknia z tuniką garnirowaną plisami i falbaną.

N. 8. Ubranie dla małej dziewczynki. Krój stanika, sukienki i karoczka od lat 2 do 5 N. XIII fig. 32—40.

N. 9. Ubranie z kwiatów na głowę.

ozdobiony deseniem, stębnowanym w maszynie objęty jest puszką ląbedzim. Długość modelu wynosi z przodu 28 a z tyłu 33 c. Szwy przepikowania stębnują się już po podwątowaniu i poddaniu podszewki jedwabnej lub mousseline de laine.

N. 7—8. Modne spódnice.

Obie strojne spódnice ozdobione garniunkiem z wolantów i z obłożenia aksamitnego, są odszite z podwójnego wełnianego materiału bez podłożenia waty. Wolanty dane są z materji tkanej na ten cel umyślnie.

N. 7. Spódnica z aksamitnymi wolantami.

Dwa wolanty szerokie na 11 cent., poprzecznie przerabiane są aksamitnymi plisami 3 cent. szerokiemi, na atlasowej tkaninie, naszyte w odstępie 6 cent. na czarnej kaszmirowej spódnicy. Atlasowa plisa naszyta pod falbankami widoczna jest w odstępie.

N. 8. Spódnica obłożona aksamitem morowym.

Przyozdobienie spódnicy z czarnej alpagi, składa się z obłożenia aksamitu wyciskanego w morę, 30 cent. szerokiego. Wiadomo jest, że obłożenie u góry ścina się odpowiednio szerokości kliniastej spódnicy, aksamit zaś zeszywa się osobno.

N. 9—11. Poduszka na kanapę.

Krepa i frywolity.

N. 21. Bucik lakierowaną skórą obłożony.

Materiał: biały atlas, lila krepa, lila, zielony, brązowy, żółty kordon do cienia, cienki drucik, szyrtyng, wata.

Skrócenia: pod. wąż. podwójny węzełek; p. — pikot, węzełki składają się z 6—13 zarzuceń.

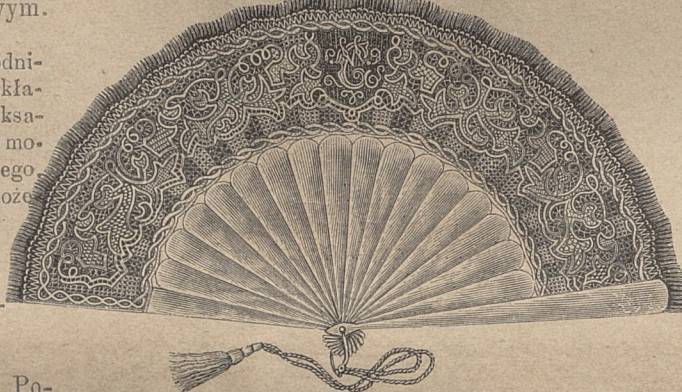
N. 11 — 13. Modne rękawiczki damskie.



N. 17. Wachlarz z bukietem i koronkowym obłożeniem. Zobacz r. 18, 19 i



N. 16. Kokarda do trzewików.



N. 18. Wachlarz z koronkowym obłożeniem.



N. 19. Wachlarz z kości słoniowej. Zamknięty.

N. 10. Ubranie z malw na głowę.

Okrągłą poduszkę podaną pod N. 9, szyje się z szyrtyngu i wyścieła wata, następnie z obu stron pokrywa atlasem białym, a zwierzchu zdobi frywolitkami i haftowaną krepa. Kształt poduszki stanowią dwa koła, mające 29 cent. średnicy wycięte z brzegu w 12 zębów 2 centym. głębokich, wypukłość w środku 9 cent. dochodząca zniżać się stopniowo ku brzegom. Garnirunek otaczający poduszkę stanowią skosy atlasu 19 cent. długie a 6 szerokie, które fałdują się każdy z osobna i oszywają między wierzeh i spód poduszki, w taki sposób, aby brzegiem na siebie zachodziły i tworzyły bułową ząbki. Bukiet fijołków z frywolitek, zdobiący środek poduszki, podaje w naturalnej wielkości rysunek N. 10.

Pojedyncze jego części naszywają się na okrągłym kawałku cienkiej tektury, podszytej potrójną lila krepa. Każdy fijoł składa się z dwóch, na sobie leżących, lila gwiazdek o 5 walcach, i jednego węzełka w środku kielicha. 5 owali dolnych gwiazdek liczą po 16 pod. węż. i 1 p. w środku, 5 zwierzchnich

N. 15. Balowy trzewik atlasowy.

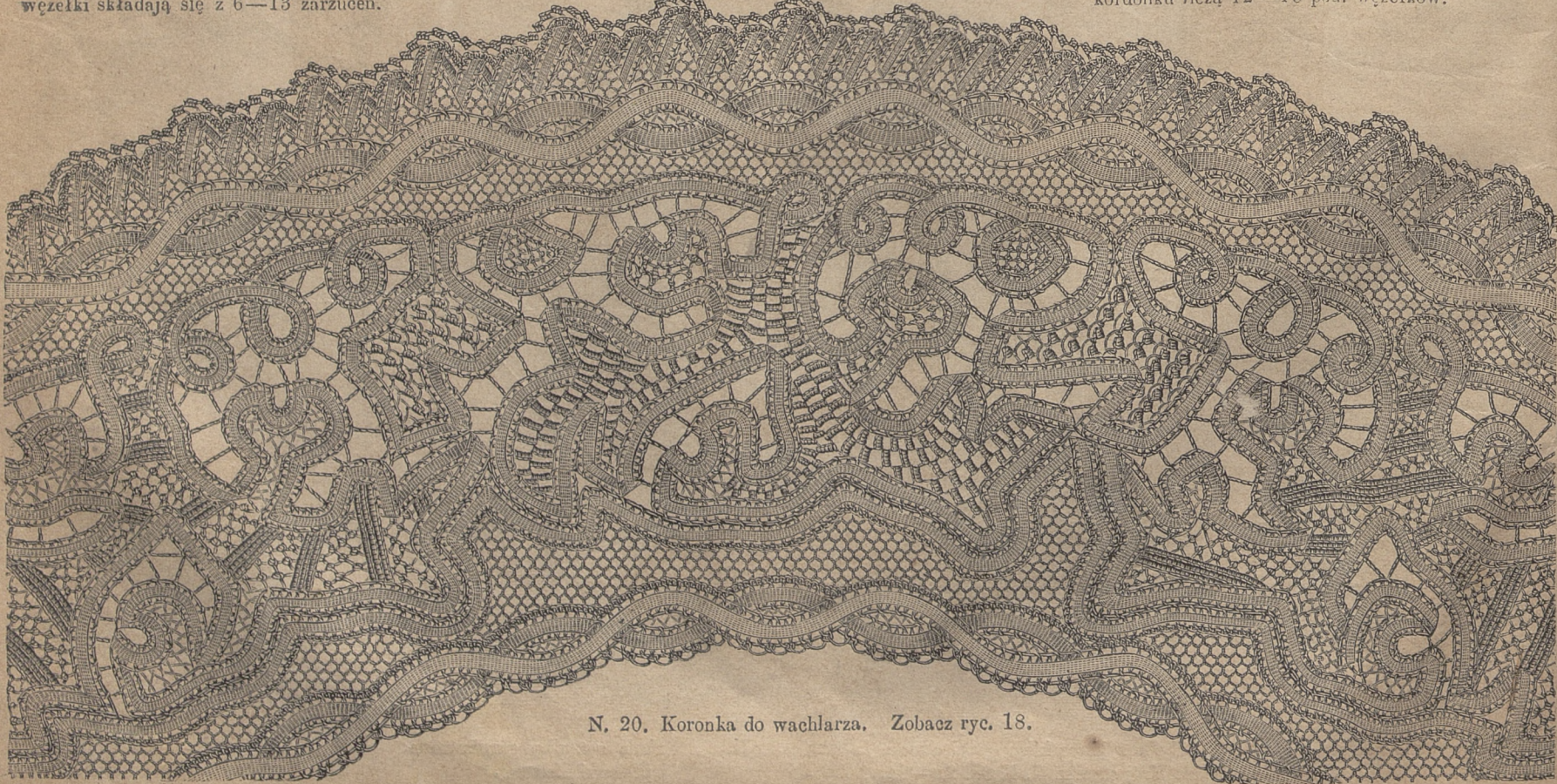
owali po 12 pod. węż. i 1 p. a w środku duży żółty węzełek. Pęczki fijołków oprawione na drucikach pokrytych zielonym jedwabiem, składają się z trzech owali tej wielkości, co w zwierzchnich gwiazdkach i z jednego węż. i 1 p. w środku. Liście robią się z zielonego kordonu do cienia i przytwierdzają do zielonego drucika, który spodem pod całym liściem przechodzić powinien. Każdy liść robić trzeba dwoma nitkami i zacząć od owala z 26 pod. węż. 1 środkowego i 2 bocznych p.

1 duży węzeł zapełnia środek; około tego środkowego owala, obrabia się pomocniczą nitką 2—5 coraz większych owali połączonych pikotami, zwiększając wedle potrzeby liczbę pod. węż. i p. nadając żądany kształt liściom; na zakończenie obrabia się wskazane na rysunku ząbkami. Korzonki pęczków z brązowego kordonu liczą 12—16 pod. węzełków.

N. 22. Kamiesz dla dzieci. Krój i opis na dodatku N. IX fig. 19.



N. 20. Koronka do wachlarza. Zobacz ryc. 18.



N. 11 podaje w naturalnej wielkości wzór haftu na krepie i zakończającego szlaczka z frywolitek. Gwiazdy z krepki układają się w ten sposób, ażeby w środku pozostawić miejsce na bukiet. Odrysowawszy deseni na papierze, naszywa się na nim krepę potrójnie, wywodzi kontury lila kordonkiem, a następnie odzierga dwa razy, ażeby dzierganie szło od brzegu i od środka, a ścięgi wchodziły jedne w drugie, środkiem każdy listek wyszywa się ścięgiem ciemnym. Następnie wycina się krepę między gwiazdkami, naszywa na atłas pojedyncze kwiateczki fioletów, a do ażurowych zębów dodaje się szlaczek frywolitowy, którego robotę jak najdokładniej widać na wzorze.

N. 12. Kaftanik z haftem.

Najdogodniejszą i najwłaściwszą formą kaftaniczka dla małej dziewczynki, jest forma puszczonej wolno. Model odrobiony z kolorowej flaneli, brzegi obrębia się i następnie przyozdabia haftowanym szlaczkiem w guście tureckim. Ładne i łatwe do wykonania szlaczki, podawane były już nieraz w dawniejszych numerach Tygodnika Mód.

N. 13. Szalik jako kapturek.
Robotą w ramach.

Materiał: 7 łutów białej włóczki angielskiej; 1 łut kolorowej, motek białego jedwabiu.

Zupełnie prosty szalik 166 cent. długi a 32 szeroki ma z przodu na 27 cent. wzdłuż przyrobiony ząb, który powiększa o 10 cent. szerokość szalika. Sposób wykonania tła jako też zakończający szlaczek, podany w numerze 8 Tyg. Mód ryc. 22.

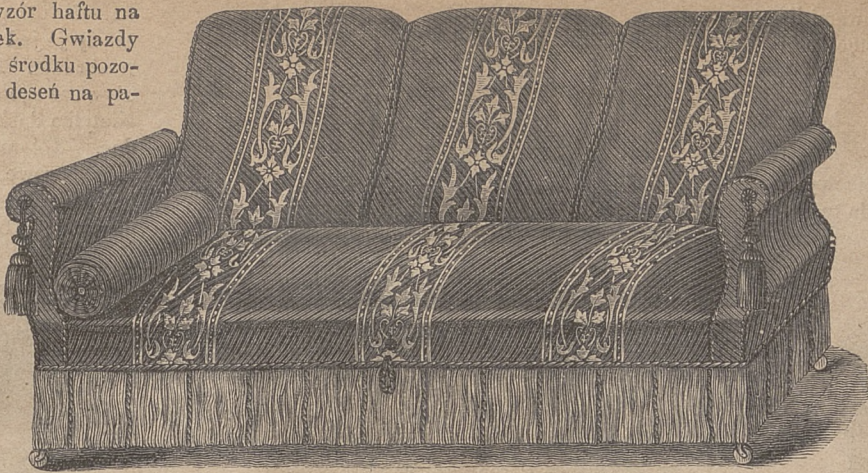
N. 14. Kapelusz na koncert lub do teatru.

Przód kapelusza w formie teczki objętego białą materią, pokrywa bufa z białego drobno marszczonego, jedwabnego tiulu, z wierzchu przytrzymana 3 cent. szeroką rypсовą wstążeczką. Okazałe barbki, z jedwabnego tiulu ozdobione są aplikacją z krepki i oszyciem z blondyny. Barbka ta 17 cent. szeroka, 175 do 180 cent. długa, jest na środku w 6 fałdów założona i w ten sposób na kapeluszu przypięta, że z przodu spada nakształt falbany, na bufę marszczoną, końce zaś u dołu spięte są kokardą ze wstążki rypsowej białej, 6 cent. szerokiej. Z takiejże wstążki cztery kokardy podwójnym węzłem przewiązane, z których trzy mają po 3 cent. a jedna 9 cent. długości i dwa długie końce, zdobia kapelusz z tyłu; z dwóch nierównych końców jeden 28 a drugi 38 cent. liczy długości. Bukiet kwiatów składają gałązki niezapominajek, pomieszczone z półrozwinętymi pączkami różanymi i wielką różą ciemnoróżową.

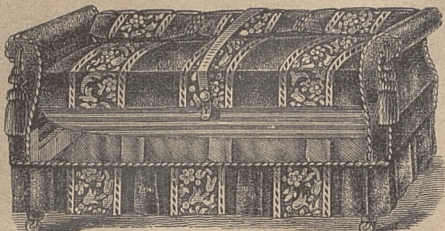
N. 15. Kapelusz spacerowy.

Kapelusz pokryty gładko czarnym aksamitem, przyozdobiony jest z przodu podpięciem, ułożonym w bufy ze wstążki rypsowej i aksamitu. Prawie cały wierzch kapelusza przykrywa bukiet z kwiatów, dalej z pod węzłów wstążki rypsowej i aksamitki, spadają dwa szerokie końce, rypsowy i aksamitny, u dołu szeroką frendzlą oszyte. Barbki z rypsowej wstążki związane są kokardą.

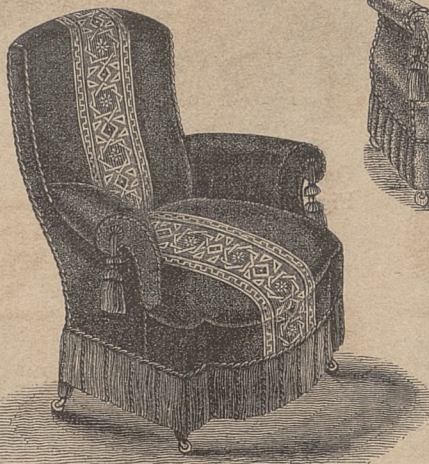
N. 33. Litery do ryciny 29 i 32.



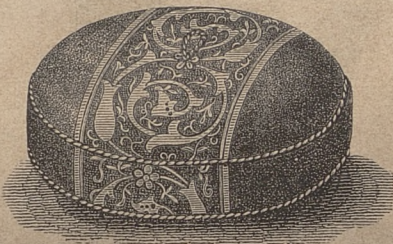
N. 23. Sofa do spania z mechanicznym urządzeniem.
Zobacz także ryc. od N. 24 do N. 27.



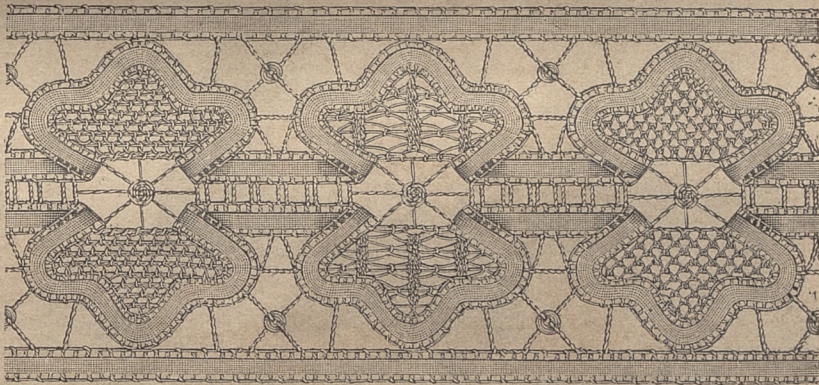
N. 24. Sofa z ułożonym materacem do spania.



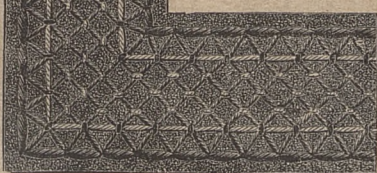
N. 26. Fotel odpowiedni do sofy ryc. 23.



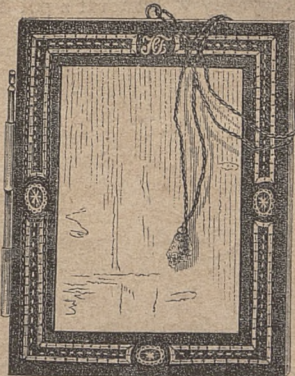
N. 27. Podnóżek do sofy ryc. 23.



N. 28. Wstawka koronkowa do bluzki ryc. 37.



N. 30. Narożnik do tabliczki ryc. 29.



N. 29. Tabliczka do gry w karty. Haft na skórze, aksamicie lub suknie.



N. 32. Tacka przyku do kart. Haft na suknie. Litery w

śrubowana przy stoliskórze, aksamicie lub dodatku fig. 53.

N. 17 — 19. Pudełko na rękawiczki.

Opis w następnym numerze.

N. 20. Berta w kształcie szelek.

Zakończenie berty spiczaste albo okrągło ścięte na plecach, zależy od upodobania. Dwa kawalki tiulu 53 cent. długie, stanowią podstawę pod bufki z białej iluzji, blondynowe ząbki i jasna niebieska materja; są one z tyłu 8 cent., na ramionach 7 cent., a na końcach tylko 3 cent. szerokie. Najprzód dolny brzeg obydwóch zupełnie jednakowych części obszywa się lekko marszczonymi, 7 cent. szerokimi blondynowymi ząbkami, koło górnego wykroju dane ząbki tylko 2 centym. szerokie. W dalszym ciągu po nad blondyną dana jest rusza z materji, składa się

ona z drobno fałdowanych skosów 3 i pół c. szerokich. W ten sam sposób przyszyte są dwie następne bufy z iluzji układane ze skosów 4 cent. szerokich. Puste miejsce w pośrodku między bufami zajmuje bufka 4 cent. szeroka, środkiem wzdłuż fałdowana. Obie połowy berty są podług wzoru kilkoma ścięgami od spodu złączone. Końce od kokardy łączącej berty 14 cent. szerokie i frendzlą oszyte, ułożone są w ten sposób iż krótsza strona brzeżna liczy 8 cent. długości, a dłuższa od środka 14 cent. oprócz frendzli 8 cent. szerokiej. Każdy pukiel kokardy jest 3 i pół cent. długi.

N. 25. Sofa z materacem, urządzona do spania.

N. 21. Narożnik do pudełka na chustki od nosa. Rycina 18 w Tyg. Mód N. 8.

Opis do N. 10.

N. 1. Kapelusz dla dziecka.

Opis i krój na dodatku N. VII fig. 15—17.

N. 2 i 3. Uczesanie w loki.

Uczesanie to można urządzić z własnych włosów lub gdyby się okazały za delikatne, używają się sztuczne loki.

W takim razie osobno przyrządzone loki przypinają się na warkoczku splecionym w tyle a własne zostają na ułożenie przodu. Pojedynczo wpinane loki, lub kolorowa kokarda dopełniają uczesania.

N. 4. Kapturek kapeluszu z aksamitu.

Opis i krój na dodatku N. XVI fig. 47—50.

N. 5. Ubranie małej dziewczynki.

Sukienka niebieska wełniana, naszyta falbankami w białe i niebieskie paski. Paletocik gruby biały w czarne centki z angorową frendzlą; kapturek biały na pasowej podszewce z takimże przybraniem. Kamazie niebieskie.

N. 31. Narożnik do tabliczki ryc. 29.

N. 6—7. Sukienka dla dziewczynki.

Krój i opis na dodatku N. X i XI fig. 21—27.

N. 8. Ubranie dziewczynki.

Krój i opis na dodatku N. XIII fig. 32—40.

N. 9—10. Dwa ubrania z kwiatów na głowę.

N. 9. Bukiet z georginji.



N. 34. Litery do ryciny 29 i 32.

Georginje białe z pąsowem, z zielonemi i brązowemi liśmi, ze spadającą zieloną gałązką, z małemi listeczkami i pączkami.

N. 10. Bukiet z malw.

Malwy różowe z zielonemi liśmi i pękiem mchowym, z błyszczącym chrabaszczem, z pod którego spada mszysta gałązka z malwowym pączkiem i połyskliwa trawa.



N. 36. Wycięta bluzka z prostym karczkiem.

N. 11 — 16. Modne trzewiki i rękawiczki.

Od czasu do czasu zwracamy uwagę czytelniczek naszych i na najdrobniejsze artykuły ubrania, podlegające kaprysom mody. Są to bardzo drobne zmiany i udosko-



N. 35. Ubiorek wizytowy.
Opis i krój w dodatku N. VIII
Fig. 18. Zobacz także ryc. 7
w Tyg. Mód N. 11.



N. 38. Stanik wycięty w kwadrat z pół długimi rękawami.

nalenia tak pod względem formy jak przybrania, przytaczamy je jednak dla osób, stosujących się do tych zmian w ubraniu. Rękawiczki do wyjścia na ulicę i na wizyty, używane są dwóch guzikach z jednym szwem przez dłoń. Nietylko doskonale leżą na rękach, ale są bardzo dogodne. Kolorowe wyszycia już się niepraktykują; rękawiczki wyborowe, mają wyszycie zwyczajne i lamówkę z brzegu w cieniu skóry. Do krótkich i pół długich rękawów, używane są osmaio guzikowe jasne rękawiczki.



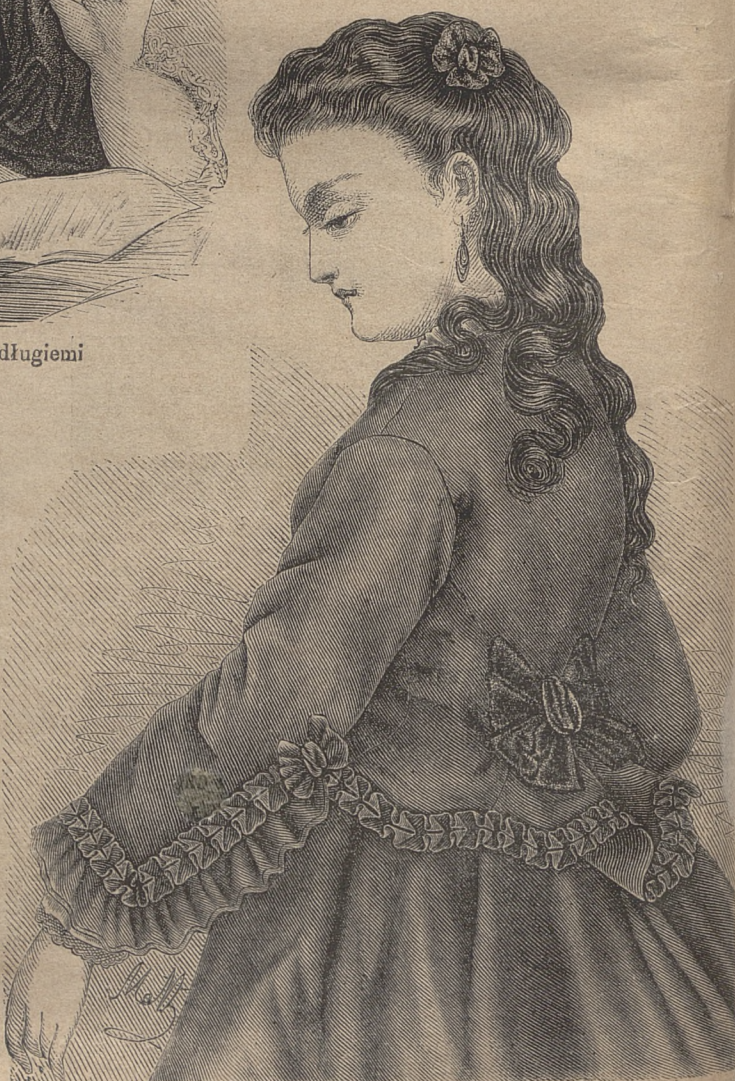
N. 37. Wycięta bluzka przybrana koronką. Opis i krój na dodatku N. II Fig. 5 i 6.

Co do trzewików, to oprócz zmniejszonych obcasów niewielką znajdujemy zmianę.

Dalszy ciąg opisu nastąpi w dodatku N. 11 Tygodnika Mód.



N. 39. Stanik z karoczką. Przód. Krój i opis na dodatku N. I Fig. 1—4.



N. 40. Stanik z karoczką. Plecy. Krój i opis na dodatku N. I Fig. 1—4.

